



JANET DAILEY



***Będziesz moją
kobietą***

Tytuł oryginału Reilly's Woman



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lea Talbot z roztargnieniem przerzucała strony ilustrowanego magazynu. Co chwila zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Przez okno widziała, jak złocista kula słońca coraz bardziej zbliża się do linii horyzontu. Coraz bledsze promienie odbijały się od stojących przed hangarem samolotów i tworzyły wokół nich żółtawą poświatę.

Stukot maszyny do pisania urwał się nagle. Ciemnowłosa sekretarka wstała z krzesła i zwróciła się do drugiej, starszej kobiety o siwych włosach, nierówno ufarbowanych na rudawy odcień.

- June, może kawy?

Kobieta skinęła głową, nie odrywając wzroku od rozłożonych przed nią ksiąg rachunkowych. Trzymając dwa kubki, brunetka podeszła do drzwi i otworzyła je nonszalanckim uderzeniem biodra. Zatrzymała się na chwilę w progu i uśmiechnęła do Lei.

- A pani nie ma ochoty na jeszcze jedną kawę? Spojrzała na pusty plastikowy kubek i po chwili wahania wzruszyła ramionami.

- Właściwie, czemu nie? - Wstała, odruchowo wygładziła brązową spódnicę i udała się za sekretarką.

- Męczy panią to czekanie? - domyśliła się ze współczuciem brunetka.

- Chciałabym być już daleko stąd - przytaknęła Lea.

Z tego, co wiem, zamierza pani odwiedzić rodzinę? Uruchomiła ekspres do kawy.

Tak, mojego brata Lonnie'ego. - Lea ostrożnie wzięła od niej napełniony kubek i ponownie spojrzała przez okno. Sionce wisiało tuż nad horyzontem. Gniewnie potrząsnęła głową, a jasnobrązowe włosy rozsypały się na jej ramionach.

- Może powinna pani do niego zadzwonić i uprzedzić, że przyleci później?

- Ale on nie ma pojęcia o mojej wizycie. To niespodzianka na jego jutrzejsze urodziny. - Ponuro popatrzyła na wskazówki zegara, nieubłaganie posuwające się do przodu. - Przynajmniej mam nadzieję, że uda mi się zrobić mu niespodziankę. Najpierw muszę się tam dostać.

- A cóż pani brat może robić w Austin? To znaczy, chodzi mi o to, że w Newadzie można znaleźć bardziej interesujące miejsca niż ta zakazana dziura.

- Tak, domyśliłam się z jego listu, że trudno byłoby nazwać Austin metropolią. - Lea uśmiechnęła się. - Jest tam tylko tymczasowo, pracuje dla spółki geologicznej, poszukującej nowych złóż. Wysłano go tam, by przeprowadził jakieś badania, nie bardzo wiem jakie.

- A reszta pani rodziny? - Sekretarka wzięła dwa pozostałe kubki i odchodząc, obrzuciła zaciekawionym spojrzeniem atrakcyjną dziewczynę, która wybierała się w sam środek pustyni.

- Rodzice obecnie przebywają na Alasce. - Zauważyła zdziwiony wzrok brunetki i wyjaśniła: - Ojciec pracuje w lotnictwie wojskowym, wysyłają go do coraz to innej bazy.

- Teraz rozumiem, czemu tak młodziutka osoba jest przyzwyczajona do latania.

Dwudziestodwuletnia Lea wcale nie czuła się aż tak bardzo młodziutka, ale nic nie odpowiedziała. Nie chciało jej się tłumaczyć, że wybrała ten środek transportu jedynie ze względu na czas, którego miała bardzo mało.

- Jak pani myśli, kiedy wreszcie wylecimy? - spytała niecierpliwie.

- Kto to wie? Sądzę, że gdy tylko przybędzie pan Smith.

Wcale jej ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała. Czekala na tego nieszczęsnego Smitha już od dwóch godzin, przy czym zdawało się, że jego niepunktualność nikogo poza nią nie denerwuje. Wyglądało na to, że inni uważają to za całkiem naturalne. Ale trudno się temu dziwić, w końcu był ich stałym klientem, przyzwyczaili się.

Lea z westchnieniem usiadła i pomyślała ponuro, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby ten facet w ogóle się nie raczył pojawić. Jej niewielkie oszczędności ledwie starczyły, by pokryć połowę kosztów wyczarterowania samolotu. Tylko dzięki temu, że udało się dzielić je z owym Smithem, mogła sobie na to pozwolić.

Miała niesamowite szczęście. Gdy zadzwoniła do firmy i poinformowano ją o cenach, była gotowa zrezygnować. Sekretarka z czystej ciekawości spytała, dokąd Lea zamierzała lecieć i nagle okazało się, że ktoś już wyczarterował na piątek samolot w to samo miejsce.

Siedziała jak na rozżarzonych węglach, dopóki nie odzwoniono z wiadomością, że pan Smith zgodził się dzielić lot i

koszty. Myślała, że reszta pójdzie jak z płatka. Jak widać, nie było to takie proste.

Jakiś ciemnowłosy mężczyzna z wyraźnym roztargnieniem zajrzał do pomieszczenia.

- Mary, czy Reilly nie kontaktował się z tobą po tym, jak powiedział, że się spóźni?

- Przykro mi, Grady, ale nie - brunetka bezradnie rozłożyła ręce. Westchnął.

- A ta druga pasażerka już jest?

- Czeka od dawna. - Sekretarka wskazała na Leę ruchem głowy.

Spojrzał na siedzącą dziewczynę i w jednej chwili jego twarz straciła nieobecny wyraz. Wszedł do środka, uśmiechając się szeroko.

- Panna Talbot? Co za miła niespodzianka! Bałem się, że zwali mi się na głowę jakaś stara panna, która śmiertelnie boi się latania. Grady Thompson, pilot - przedstawił się, wyciągając rękę.

- Witam, panie Thompson - odpowiedziała, gdy mocno potrząsnął jej dłonią.

- Grady, jeśli można prosić - zaproponował z błyskiem w oku i usiadł tuż obok.

Wysoki i barczysty, ale z wyraźnym brzuszkiem, miał koło czterdziestki. Mógłby być jej ojcem, ale nie przeszkadzało mu to flirtować z nią. Jednak ani trochę nie czuła się tym urażona, gdyż emanowała z niego życzliwość i pogoda ducha.

- Dobrze, Grady - uśmiechnęła się.

Przez chwilę milczał, przyglądając się złotawym błyskom w jej włosach, gdyż ostatnie promienie słońca padały wprost na głowę Lei.

Podziwiał też klasyczny profil i orzechowe oczy. W zasadzie żaden szczegół jej twarzy nie wydawał się uderzająco piękny, lecz razem tworzyły harmonijną, zdecydowanie atrakcyjną całość.

- Skoro mówisz mi po imieniu, to ja też nie mogę być gorszy - zauważył nieco zaczepnie pilot.

- Mam na imię Lea.

- Jesteś przyjaciółką Reilly'ego?

- Chodzi o pana Smitha? - domyśliła się.

- Aha, czyli go nie znasz. W takim razie, co cię ciągnie na pustkowie Newady?

- Chcę odwiedzić brata. Oczywiście, o ile ten twój Smith się wreszcie zjawi.

- On nie jest niczym Smithem - zauważył nieco kąśliwie Grady, co wzbudziło ciekawość Lei.

- Wygląda na to, że znasz go całkiem nieźle - dyplomatycznie próbowała dowiedzieć się czegoś o tajemniczym towarzyszu podróży.

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Myślę, że nikt go nie zna. Chodzi własnymi ścieżkami jak kot. Może nawet bardziej przypomina samotnego wilka. Ale w sumie nic dziwnego, skoro to półkrwi Indianin.

- Ach, tak. A po co lata do Austin?

- W interesach. Coś tam załatwia w okolicach Austin i Tonopah, chodzi o wydobywanie czegoś. Zazwyczaj woźę go albo w jedno miejsce, albo w drugie.

Przyszło jej do głowy, że może ten cały Smith pracuje w tej samej firmie, co jej brat. A może raczej u konkurencji? Zresztą, wszystko jedno. Niech się wreszcie pojawi, reszta nie ma znaczenia.

- Mieszkasz w Las Vegas? - Grady był naturalnie bardziej zainteresowany nią, niż rozmawianiem o swoim stałym kliencie.

- Tak. Pracuję w banku jako sekretarka. - Miała nadzieję, że pilot nie skomentuje tego, jak inni mężczyźni, że powinna raczej występować w którymś ze słynnych kabaretów jako tancerka lub coś w tym rodzaju... A brat mieszka w Austin?

- Tylko chwilowo.- Powtórzyła mu to, co przed chwilą wyjaśniała sekretarce.

- Pewnie dawno się nie widzieliście?

- Nie, spędziliśmy razem święta Bożego Narodzenia, ale mam ochotę zrobić mu niespodziankę na jutrzejsze urodziny.

- Musisz bardzo kochać brata, skoro zadajesz sobie tyle trudu - zauważył Grady.

- To prawda, jesteśmy bardzo zżyci.

Pomyślała o zwariowanym dzieciństwie, kiedy to nieustannie musieli się przenosić z jednego krańca świata na drugi, gdyż wymagała tego praca ojca. Gdy tylko zdążyli nawiązać nowe przyjaźnie, zaraz trzeba było się pakować i wyjeżdżać. Nic dziwnego, że w tej sytuacji rodzeństwo bardzo się zbliżyło do siebie, mimo sporej różnicy wieku.

- A co na to wszystko twój chłopak? Tylko mi nie mów, że nie istnieje. Taka dziewczyna ma facetów na pęczki. - Pilot mrugnął do niej szelmowsko.

- Mówi, że chyba upadłam na głowę - wyznała uczciwie.

Marvin pracował w tym samym banku, spotykali się czasem, ale sama nie była pewna, jak właściwie można by określić ich wzajemny stosunek. Dla świętego spokoju Lea zgodziła się z określeniem Grady'ego, że jest to jej chłopak.

W zasadzie nie tylko on, ale również inni znajomi nie pochwalali jej pomysłu. Twierdzili, że przywiązanie do rodziny dobrze o niej świadczy, ale nie kryli przy tym, iż wydawanie wszystkich oszczędności na wspólne spędzenie weekendu wydaje im się mało sensowne. Oczywiście, gdyby leciała do swojego chłopaka, to nikt by się niczemu nie dziwił. Ale do brata?

- Ten twój chyba jest wściekły, że go zostawiasz. Ja na pewno bym był - Grady wpatrywał się w nią zachwyconym wzrokiem.

- Jak tak dalej pójdzie, to nie będzie miał podstaw - kolejny raz spojrzała niecierpliwie na zegar. - Prawdopodobnie nigdzie nie polecę.

- Spokojnie, Reilly zjawi się na pewno. Gdyby nie mógł, daję głowę, że by zadzwonił. W tak zwanym międzyczasie mógłbym zabrać twój bagaż do samolotu. Co ty na to?

- Dzięki - uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Zawsze to jakiś krok do przodu.

Grady życzliwie poklepał ją po kolanie.

- Głowa do góry. Jeszcze zdążymy polecieć.

Zabrał jej sportową torbę i otworzył drzwi prowadzące do hangaru. Gdy wyszedł, czas znowu zaczął się niemiłosiernie dłużyć.

Drzwi otworzyły się ponownie, tym razem wejściowe. Spojrzała ze znużeniem w ich kierunku, przekonana, że wraca pilot. Do poczekalni wszedł jakiś obcy.

Lea zdążyła sobie przedtem wyobrazić wygląd tajemniczego Smitha. W jej mniemaniu miał to być niski, blisko pięćdziesięcioletni, antypatyczny grubas. Nic bardziej mylnego. Ujrzała wysokiego i szczupłego mężczyznę, wyglądającego na trzydzieści parę lat. Kruczoczarne włosy, smągła cera, wystające kości policzkowe i orle rysy przykuwały uwagę.

Brazowy, letni, lniany garnitur świadczył o niedbalej elegancji. Rozchylona żółto-brazowa koszula ukazywała pierś ozdobioną ogromnym turkusem osadzonym w oksydowanym srebrze.

Mimo że ten człowiek w niczym nie przypominał jej wyobrażenia, nie miała wątpliwości, że to ów oczekiwany Smith o indiańskim pochodzeniu. Świadczyła o tym emanująca z niego duma, nieprzystępność i miękki, jakby koci sposób poruszania się.

- No, wreszcie pan się pojawił! - Ciemnowłosa sekretarka wzięła się pod boki, nie kryjąc dezaprobaty. - Panna Talbot zaczynała już podejrzewać, że pan w ogóle nie istnieje.

Spojrzał na Leę po raz pierwszy. Ujrzała niezwykle, zielone oczy o absolutnie nieprzeniknionym wyrazie. Poczuli się nieswojo, gdy obcy bez zażenowania z aprobatą oceniał jej wdzięki. Chwilę później przestał zwracać na nią uwagę i zajął się interesami.

- Spóźniłem się. - Nie brzmiało to ani jak wytłumaczenie, ani jak przeprosiny. - Moje walizki znajdują się na zewnątrz. Pani jest gotowa, panno Talbot?

Co za tupet! Czeka na niego od trzech godzin, a on ma czelność zadawać takie pytanie! Miała ochotę powiedzieć, co o tym myśli, ale ugryzła się w język.

- Mój bagaż już od dawna leży w samolocie, panie Smith. -
Demonstracyjnie głośno zamknęła otwartą torebkę i wstała.

Gdy wyszli, wiejący od pustyni wiatr znienacka podwinął jej spódnicę, odsłaniając zgrabne nogi. Lea obiema rękami przytrzymała powiewną garderobę, by ochronić się przed skutkami kolejnych gwałtownych podmuchów. Pomyślała, że na czas podróży powinna była włożyć spodnie. Wiadomo jednak, że przyzwyczajenie jest drugą naturą. Mieszkała w wielu krajach, gdzie kobieta w spodniach spotykała się z dezaprobatą otoczenia, więc prawie nigdy ich nie nosiła.

Podczas gdy obcasy Lei stukały głośno po betonie, towarzyszący jej mężczyzna poruszał się zupełnie bezszelestnie. Dyskretnie spojrzała w bok. Nawet na wysokich szpilkach sięgała mu zaledwie do brody. Z ciekawością zerknęła na smagłą rękę. Miała rację, gdy domyślała się, że nie ujrzy na niej obrączki. Tak, określenie Grady'ego okazało się bardzo trafne. Samotny wilk.

Pewnie sporo dziewczyn miałoby ogromną ochotę zmienić stan cywilny tego przystojniaka. Na szczęście jej ten problem nie dotyczy. Nie wybrała się na podryw, tylko z wizytą do brata.

Pilot czekał na nich przy biało-pomarańczowej Cessnie 310. Lśniący samolot o nowoczesnej sylwetce wyglądał naprawdę pięknie.

- A nie mówiłem, że przyjdzie? Witaj, Reilly - uśmiechnął się serdecznie.

- Miło cię widzieć, Grady. - Głos Smitha zabrzmiał nieoczekiwanie ciepło i przyjaźnie, zupełnie inaczej niż w biurze firmy. Uścisnęli sobie dłonie.

- Daj, zapakuję twój bagaż.

- Aktówkę zabieram na pokład. - Smith podał mu większą walizkę i podniósł wzrok ku fioletowemu, wieczornemu niebu.

Pojawiła się na nim już pierwsza gwiazda. - Jak pogoda, Grady?

Pilot spojrział przelotnie do góry i wzruszył ramionami.

- Niedługo się załamię, ale powinniśmy przedtem zdążyć do Austin. Jeśli nie, pohnuśta nas trochę, ale damy sobie radę - roześmiał się i wskazał gestem wejście. - No, wskakujcie na pokład.

Na szczęście wygodne schodki pozwoliły Lei wejść na górę bez większych kłopotów, mimo obcasów i spódnicy. W środku poszło jej już nieco gorzej, gdyż przejście między fotelami okazało się niezwykle ciasne. Z lekką zazdrością patrzyła na poruszającego się nadzwyczaj zręcznie współpasażera.

Usiadł obok niej. Zdziwiło ją to, gdyż sądziła, że zajmie miejsce koło pilota. Gdy położył teczkę na kolanach, zorientowała się, że zamierza pracować i dlatego wybrał fotel z tyłu.

Grady usadowił się wygodnie, zapiął pas i zerknął na nich przez ramię.

- Czy wy się już poznaliście?

- Właściwie tak - odparła Lea.

- Ona leci odwiedzić brata - wyjaśnił pilot.

- Pracuje dla spółki geologicznej - dodała, spoglądając na Smitha. - Należy do zespołu, który wykonuje jakieś badania w

okolicach Austin. - Pomyślała, że to świetna okazja, by dowiedzieć się czegoś o swoim milczącym towarzyszu, - Grady wspominał, że prowadzi pan tam interesy w podobnej branży. Może przypadkiem zna pan mojego brata? Nazywa się Lonnie Talbot.

- Nie znam.

Ich oczy zetknęły się na moment. Chłodne, nieprzeniknione spojrzenie nie zachęcało do kontynuowania rozmowy, Zresztą ryk silników i tak uczynił ją niemożliwą. Lea musiała więc na razie powściągnąć swoją ciekawość. Przynajmniej dowiedziała się, że nie pracuje on dla tej samej firmy, co jej brat.

Grady wywołał przez radio wieżę i Lea poczuła przyjemny dreszcz podniecenia. Nareszcie ruszali. Wyjrzała przez okno i uśmiechnęła się z rozbawieniem na myśl o zdziwionej minie Lonnie'ego.

Ujrzała pulsujące niebieskie światła, gdy obok pojawił się samochód pilotujący. Samolot kołował za nim na pas startowy, a silniki ryczały coraz głośniej. Po chwili kontrola naziemna dała zgodę na start. Grady obejrzał się na moment z uśmiechem.

- Macie ochotę pobujać trochę w obłokach?

Warkot silników brzmiał coraz donośniej, szybkość rosła, a przód powoli zaczął unosić się do góry. Wreszcie oderwali się od ziemi. Za oknami pojawiły się światła Las Vegas. Wielobarwne, pulsujące neony niezliczonych kasyn i hoteli wyglądały niczym rzucona na ziemię tęcza wstęga.

We wnętrzu samolotu panowała cisza i spokój. Lampki kontrolne przed pilotem jarzyły się w półmroku, pracujący bezgłośnie

nad głową Lei wentylator powodował, że pasma jej jasnobrązowych włosów falowały lekko. Nad sąsiednim fotelem paliło się światło.

Dopiero teraz zauważyła, że Reilly Smith nie podziwiał fascynującego widoku, tylko pogрузzył się w pracy. Na jego kolanach spoczywała otwarta aktówka. Elementarne zasady grzeczności nie pozwalały w tej sytuacji nawiązywać jakiegokolwiek rozmowy. Lea nie odzywała się więc, choć ten dziwny człowiek intrygował ją coraz bardziej. Miała ogromną ochotę zerknąć mu przez ramię, by chociaż wiedzieć, jakie papiery przegląda. Powstrzymała się jednak. Aby zwalczyć pokusę, ponownie skierowała wzrok za okno. Niestety, panowała za nim niemal nieprzenikniona ciemność i Lea ujrzała jedynie swoje odbicie.

Zastanawiała się przez chwilę, czy może powinna wyjąć z torebki książkę i też pogрузzyć się w lekturze, lecz w końcu poniechała tego zamiaru. Była zbyt podekscytowana myślą o niespodziance, jaką zrobi Lonnie'emu, by skupić się na czytaniu.

Grady obrócił nieco głowę w jej stronę.

- Może chciałabyś usiąść na chwilę koło mnie?

- Chętnie, dzięki - zgodziła się skwapliwie. Rozmowa z pilotem urozmaici trochę czas podróży.

Gdy odpinała pas, Grady uśmiechnął się porozumiewawczo do jej sąsiada.

- Chyba nie masz nic przeciw temu, Reilly?

- Oczywiście, że nie - odparł z ledwo wyczuwalną kpina i obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

Zastanowiło ją to. Chyba nie podejrzewał, że daje się podrywać pilotowi? Przecież różnica wieku aż rzucała się w oczy.

- Tylko nie wpadnij mi tu na coś - ostrzegł Grady, gdy Lea z trudem próbowała lawirować w wąskim przejściu między fotelami.

Silna dłoń przytrzymała ją za ramię i pomogła bezpiecznie dotrzeć na miejsce. Lea przyjęła nieoczekiwaną pomoc ze zdziwieniem, ale i z wdzięcznością.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nasza rozmowa nie przeszkodzi panu w pracy.

- I tak zamierzałem właśnie skończyć i trochę się przespać. - Zdecydowanie zamknął teczkę, po czym zgasił światło nad swoją głową.

Lea pożałowała, że nie została na swoim miejscu. Skoro już nie czytał, to mogłaby zamienić z nim parę słów i choć w pewnym stopniu zaspokoić swoją ciekawość.

- To zadziwiające. - Grady potrząsnął głową z niedowierzeniem.

- Co? - spytała z roztargnieniem.

- No, on - wskazał do tyłu.

Poczuła się trochę niezręcznie. Tamten przecież musiał słyszeć słowa pilota. Obejrzała się z niepokojem, oczekując na reakcję Reilly'ego. Siedział wygodnie z zamkniętymi oczami, a jego pierś unosiła się w równomiernym oddechu.

- Już śpi - westchnął Grady. - Po prostu zamyka oczy i w tej samej sekundzie już go nie ma. Niesamowity facet. Zdecydował, że zaśnie, to zasypia.

- Pozazdrościć - przytaknęła i poprawiła się na fotelu. Popatrzyła na płonące czerwone lampki. - Włączyłeś automatycznego pilota?

Skinął głową, lecz zauważyła, że mimo tego odruchowo kontrolował stan wskaźników.

- Siedziałaś kiedyś na samym przodzie w prywatnym samolocie?

- Ojciec zabrał mnie parę razy ze sobą, ale nigdy takim cackiem - przyznała uczciwie.

- Nowoczesne maszyny to rzeczywiście małe cuda techniki - uśmiechnął się Grady. - Nasz pokładowy komputer umie zrobić wszystko, nie potrafi tylko wylądować. Przynajmniej do tego jestem potrzebny. Zresztą każdy sprzęt, nawet najwspanialszy, może się zepsuć. Dobra, nie gadajmy o lataniu, mam tego dość przez cały dzień na okrągło. Opowiedz mi lepiej o sobie. Ze szczegółami, od dzieciństwa. Zdażysz, lot do Austin trochę potrwa.

- Nie mam aż tyle do opowiadania - zaśmiała się i pokrótce zdała mu relację z nieustannych wędrówek rodziny.

- W takim razie, jak to się stało, że mieszkasz teraz sama w Vegas?

- Zwyczajnie. Ojca przeniesiono do kolejnej bazy akurat wtedy, gdy skończyłam szkołę i zapisałam się na kurs dla sekretarek. Nie zamierzałam rzucać tego, co zaczęłam, a w dodatku uznałam, że czas najwyższy, by wyfrunąć z rodzinnego gniazda. Oni wyjechali na Alaskę, a ja zostałam.

- Urzekły cię światła wielkiego miasta i pokusy Las Vegas? Tu można zrobić łatwą karierę.

- Wcale mnie to nie pociąga. Bardzo lubię moją pracę - stwierdziła z przekonaniem. - Nie zamierzam jej zamieniać na to pozornie lekkie i kolorowe życie. W rzeczywistości jest ono ciężkie i stresujące.

- To prawda. Czy ty również, jak reszta mieszkańców Vegas, nie chodzisz do kasyn, rewii i podobnych miejsc? Ci, co tu zakotwiczyli na stałe, omijają je z reguły szerokim łukiem, o ile tam nie pracują.

- Zgadza się! To znaczy, czasami nie odmawiam sobie pójścia na występ jakiegoś ulubionego wykonawcy. Generalnie uważam to jednak za atrakcje dla turystów. Prawdziwe życie miasta toczy się gdzie indziej, nie w kasynach i kabaretach.

- Taak... - Grady spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Wspomniałaś, że swego czasu odwiedziliście też bazy na Pacyfiku?

- Wyspę Guam i Hawaje.

- Też tam byłem, gdy służyłem w wojsku. Oczywiście nie powiem ci, ile lat temu! - zastrzegł Grady i zasypał ją pytaniami, by sprawdzić, czy rzeczywiście przebywali w tych samych miejscach i czy zmieniły się one od czasu jego pobytu.

Czas na pogawędce mijał szybko i miło. Usiane gwiazdami we wschodniej części niebo przypominało, że jest już późny wieczór. Lea poczuła, że jej powieki zaczynają się robić coraz cięższe.

- Jeśli masz ochotę uciąć sobie drzemkę - powiedział półgłosem pilot - to może lepiej wróc na swoje dawne miejsce. Tam przynajmniej możesz wygodnie rozprostować nogi bez obawy, że kopniesz w jakąś kontrolkę lub zaczepisz o kabel.

- Chyba rzeczywiście tak zrobię.

Ostrożnie przecisnęła się między fotelami, by nie obudzić Reilly'ego. Usiadła na miejscu i dopiero wtedy zauważyła, że niebo przed nimi stało się zupełnie czarne.

- Czy to jest właśnie to załamanie pogody, o którym mówiłeś przed startem? - spytała cicho.

- Pewnie tak. Skontaktuję się z kontrolą naziemną, niech mi podadzą ostatnią prognozę.

Rozmawiał chwilę przez radio, podczas gdy Lea zapinała pas.

- Lepiej zapnij się ciaśniej. Trochę nas pohuśta. - Grady zerknął przez ramię na spoczywającego w bezruchu mężczyznę. - Reilly!

- Słyszę - padła cicha odpowiedź. Ciemna postać spokojnie wyprostowała się i mocniej zacisnęła swój pas.

- Sądziłam, że pan śpi - wyrwało się Lei.

- Bo spałem - potwierdził zupełnie przytomnym głosem.

Ten zagadkowy człowiek budził się równie błyskawicznie, jak zasypiał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wokół samolotu roztaczała się złowroga ciemność, nie było już nawet śladu gwiazd. Nagle błyskawice rozdarły atramentowoczarne niebo, a gwałtowny podmuch wichru szarpnął samolotem. Pilot tak manewrował, by kolejne uderzenia wiatru nie rzucały maszyną niczym zabawką, jednak stawały się one coraz silniejsze.

- Reilly! - zawołał, nie spuszczać oczu z obracających się jak szalone wskazówek i migających przy każdym wstrząsie lampek.

Mężczyzna rozluźnił nieco pas i pochylił się do przodu.

- Będzie coraz gorzej. Zamierzam zboczyć z kursu i oblecieć to świństwo bokiem! - Grady próbował przekrzyczeć gromy.

- Oczywiście - odpowiedział spokojnie Reilly.

Lea co prawda wierzyła w zdolności pilota oraz wytrzymałość tak nowoczesnego samolotu, lecz nie potrafiła powstrzymać drżenia. Zbeształa się w duchu za tchórzostwo. Przecież tylko głupiec mógłby się bać. Są zupełnie bezpieczni.

Cały czas jednak mimowolnie wstrzymywała oddech, gdy Grady powoli zmieniał kurs, kierując się na wschód, by uciec przed burzą i dotrzeć do Austin okrężną drogą. Zerknęła na nieporuszoną twarz siedzącego obok mężczyzny. Rany, ten człowiek miał nerwy ze stali!

Nagle zstępujący prąd powietrza gwałtownie szarpnął samolotem w dół. Silniki zawyły, a Lea poczuła nieznośny ucisk w żołądku. Nieustanne wyładowania atmosferyczne rozświetlały

panującą wokół ciemność upiornym blaskiem, podczas gdy maszyna próbowała przedrzeć się przez szalejącą wicherę.

- Do diabła, tak nie damy rady! - krzyknął pilot. - Zejdziemy niżej i zobaczymy, może tam jest trochę spokojniej.

Odpowiedziało mu milczenie. Lea czuła, że nie potrafiłaby wydobyć nawet jednego słowa z zaschniętego gardła. Miała wrażenie, że spadają, dzięki informacji Grady'ego wiedziała jednak, iż jest to zamierzone.

Błyskawica pojawiła się nagle tuż na wprost nich i trwała przez ułamek sekundy, lecz to wystarczyło.

- Wielki Boże! - wyrwało się pilotowi.

Przed nimi wyrastał jakiś olbrzymi, ciemny kształt. Góra. Lea zauważyła ją również i chwilę później wcisnęło ją w oparcie fotela, gdy Grady ostro skręcił w prawo. Kolejna błyskawica pozwoliła dojrzeć całe pasmo poszarpanych szczytów.

- Cholera, przecież tu nie powinno być żadnych gór! - zaklął z wściekłością i ponownie wykonał gwałtowny manewr. - Nie na tej wysokości. Ten diabelny wysokościomierz chyba musiał...

Nie dokończył. Następny rozbłysk wskazał drogę ucieczki, niską, szeroką przełęcz między dwoma graniami. Szybko nakierował maszynę właśnie tam, choć znów zapadła ciemność i nie miał pewności, czy wycelował bezbłędnie.

Lea, sparaliżowana ze strachu, w szalonym napięciu modliła się w duchu o kolejną błyskawicę, która oświetliłaby im drogę.

Doczekała się, lecz zbyt późno. Stało się jasne, że miną przełęcz i roztrzaskają się o zbocze góry.

Grady rzucił maszynę w bok w ostatniej, desperackiej próbie. Stalowa dłoń zacisnęła się na karku Lei, brutalnie pchnęła jej głowę w dół, aż do kolan, i przytrzymała tam.

- Nie ruszaj się - rozkazał spokojnym głosem Reilly: Coś szarpnęło samolotem i rozległ się straszliwy zgrzyt rozrywanego metalu. Prawe skrzydło zahaczyło o zbocze i złamało się w połowie. Maszyna runęła w dół.

- No, dalej, maleńka! - warknął przez zaciśnięte zęby pilot, próbując poderwać ją do góry.

Samolot uderzył o twarde podłoże, podskoczył i przez chwilę ześlizgiwał się po nim. Naraz resztki prawego skrzydła powtórnie o coś uderzyły. Gwałtowne szarpnięcie spowodowało, że zaczęły obracać się w kółko.

Wydawało się, że potworny zgrzyt metalu dobiega ze wszystkich stron i że trwa to bez końca. Czemu tak długo, przemknęło przez spanikowany umysł Lei. Lepiej byłoby się rozbić od razu. Nagle usłyszała brzęk pękającego szkła po swojej, lewej stronie samolotu oraz ryk silników. Poczula ostry ból, a przed jej oczami zapadła ciemność.

Jakiś stalowy przedmiot pociągnął jej głowę ku górze.

- Wstawaj, musimy stąd wyjść - domagał się stanowczy głos, który dobiegał gdzieś z bardzo daleka.

Potrząsnęła głową, by nieco dojść do siebie. Stalowym przedmiotem okazała się męska ręka, a ten, kto do niej mówił, znajdował się tuż przy niej. Spróbowała wstać, ale nogi tak się pod nią trzęsły, że bez podtrzymującego ją ramienia nie dałaby rady.

Nagle dotarło do niej, że przeżyła. I że to Reilly Smith pomaga jej wydostać się z leżącego na ziemi samolotu. Potykając się w ciemnościach, dotarła do uchylonych drzwi i z trudem przecisnęła się przez wąską szczelinę. Zastanawiała się, czemu Reilly nie otworzył drzwi szerzej. Gdy dotknęła stopą żwiru, zrozumiała. Wrak maszyny spoczywał wzdłuż skalnej ściany, która omal nie odcięła im możliwości wyjścia.

Kiedy stanęła na zewnątrz, natychmiast poczuła silne uderzenie wiatru, a strugi deszczu zaczęły spływać jej po twarzy i włosach. Niemal nad głową rozległ się przerażający grzmot.

Chciała oprzeć się o kadłub samolotu i rozpłakać z ulgi, że żyje, lecz opasujące ją ramię nie pozwoliło na to.

- Nie możemy tu zostać.

Poszła z Reillym bez najmniejszego sprzeciwu, gdyż wiedziała, że miał rację. Powoli zaczynała wychodzić z szoku, ale nogi wciąż jeszcze się pod nią uginały, co, w zestawieniu z wysokimi obcasami, dodatkowo utrudniało chodzenie po nierównym gruncie. Gdy znaleźli się na otwartym terenie, w pewnej odległości od miejsca katastrofy, Reilly zatrzymał się i zmusił Lee, by ukucnęła.

- Poczekaś tutaj - rozkazał. - Ja wracam do samolotu. I masz tak zostać, żeby nie stanowić dogodnego celu dla piorunów.

Skinęła głową, lecz przecież nie było tego widać. Uprzytomniła to sobie i odezwała się po raz pierwszy:

- Zrobię tak. - Gdy oddalił się o parę kroków, przypomniała sobie jeszcze o czymś: - Gdzie jest Grady?

Jej wybawiciel zniknął w ciemnościach, nie udzielając odpowiedzi. Pewnie nie usłyszał lub wracał właśnie po pilota. Błyskawica na ułamek sekundy oświetliła jego szczupłą sylwetkę, za którą rysował się okaleczony, bezskrzydły wrak. Zadrżała. To istny cud, że mimo wszystko udało im się ująć z życiem.

Gdy tak czekała skulona, poczuła, że jej ubranie zaczyna przemakać. Mocniej otuliła się kamizelką. Znienacka ostry ból przeszył jej lewe ramię. Dotknęła go prawą dłonią. Rękaw bluzki kleił się do ciała, mokry i dziwnie ciepły. Po omacku odnalazła rozdarty materiał i rozciętą skórę. Nie pamiętała, że coś ją zraniło. Lekko nacisnęła ranę, by zorientować się, czy wciąż krwawi i na ile jest poważna. Ból stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Poczula się nagle opuszczona i bezgranicznie nieszczęśliwa.

Próbowała przebić wzrokiem otaczający ją mrok, w nadziei, że ujrzy wracającego mężczyznę, najlepiej dwóch. Widziała jednak tylko bladą, upiorną poświatę pomalowanego na biało samolotu.

Rozległ się kolejny grzmot. Co prawda przyrzekła czekać, ale teraz zdecydowała, że jeśli Reilly wkrótce się nie pojawi, to złamie swoją obietnicę. Nagle dostrzegła strumień światła, który jakby tańczył między skalnymi odłamkami. Zastygła w przerażeniu i dopiero po chwili zorientowała się, że to promień najzwyklejszej w świecie latarki. Odetchnęła z ogromną ulgą.

Widziała, że zbliżająca się postać niesie coś ciemnego, przewieszzonego przez ramię. Grady'ego? Czekala, wstrzymując oddech.

Błędzące światło odnalazło jej twarz i oślepiło ją. Odruchowo zamknęła oczy. Mężczyzna ukląkł obok niej i rzucił swój ciężar na ziemię. Popatrzyła na płaszcz, którego rękawy zostały umiejętnie związane, by nie wypadły znajdujące się wewnątrz przedmioty.

- Gdzie Grady? - Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w pozbawioną wyrazu twarz.

- Nie żyje. - Długie palce zręcznie rozwiązywały zaimprovizowany pakunek.

- Nie! - szepnęła, choć wiedziała, że to musi być prawda. W takich sprawach się nie kłamie. Próbowwała opanować drżenie głosu. - Chyba go nie zostawiłeś w samolocie?

- Owszem. - Nieprzeniknione rysy przypominały maskę. W zielonych oczach, które spojrzały na nią przelotnie, nie dało się dostrzec nawet śladu żalu. - Masz zakrwawiony rękaw. Chciałbym obejrzeć twoje ramię.

Bezwiednie dotknęła rany, prawie nie zważając na ból. Wydawało jej się, że nie powinni zostawiać pilota we wraku samolotu, że to nieludzkie. Nie mogła przywyknąć do myśli, że ten pogodny, energiczny mężczyzna spoczywa martwy wśród pogiętego metalu.

- Musisz przytrzymać latarkę. - Reilly zmarszczył brwi, gdy Lea w ogóle nie zareagowała na jego słowa.

- Otrząśnij się wreszcie!

- Co takiego? - spytała z roztargnieniem.

- Powiedziałem, żebyś wzięła latarkę. Chcę obejrzeć tę ranę - powtórzył ostro.

W jej orzechowych oczach pojawiły się łzy, ale powstrzymała się od płaczu. Skierowała światło latarki na swoje ramię. Kątem oka zauważyła, że Reilly wyjmuje z kieszeni nóż.

- Zamierzam odciąć rękaw, żeby mieć lepszy dostęp - wyjaśnił.

Użył resztek materiału, by starannie wytrzeć skórę wokół rany. Widok poszarpanej, zakrwawionej skóry nie należał do przyjemnych, Lea odwróciła więc wzrok. Czuła, jak Reilly obmacuje ranę, by sprawdzić, czy nie zostały w niej odłamki szkła lub metalu. Ból rósł z każdą chwilą.

Sięgnął po apteczkę i otworzył metalowe wieko. Wyjął środek odkażający i szybko zamknął pudełko, żeby do środka nie przedostała się wilgoć.

- Będzie szczypać - ostrzegł.

W świetle latarki krople deszczu w jego kruczoczarnych włosach lśniły niczym diamenty.

Mimo szczerych chęci nie udało jej się powstrzymać jęku. Odruchowo szarpnęła się gwałtownie do tyłu, gdy rana zapiekła ją żywym ogniem w zetknięciu ze spirytusem.

- Nie ruszaj się!

- To boli! - warknęła. Zignorował jej słowa.

- Trzymaj tę latarkę porządnie, muszę przecież widzieć, co robię.

Świnia, pomyślała z wściekłością. On nie ma żadnych ludzkich uczuć. Mógł przynajmniej powiedzieć, że mu przykro, ale trzeba to zrobić. Każdy normalny człowiek starałby się ją jakoś pocieszyć.

Zacisnęła zęby i ponownie skierowała promień światła na skaleczone ramię. Tym razem nie wydała z siebie żadnego odgłosu,

gdy wylał spirytus na otwartą ranę. Następnie sięgnął po bandaż i wprawnie założył opatrunek.

- Dziękuję - powiedziała.

- Proszę. - Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

Wyjął jej z dłoni latarkę i położył na ziemi w ten sposób, by oświetlała przyniesiony pakunek. Rozwinął płaszcz do końca i najpierw sięgnął po pistolet. Zatknął go za pasek od spodni i dodatkowo zasłonił kurtką, by uchronić go przed deszczem. Menażkę i jakieś nieduże pudełko postawił na ziemi obok starannie złożonej czerwonej płachty. Wstał i strzepnął płaszcz, a następnie podał go Lei.

- To cię ochroni przed deszczem - powiedział.

- Gdybyś jeszcze nie zauważył, to informuję, że już zmokłam. -

Objęła się ciasno ramionami, czując przenikający ją od mokrego ubrania ziąb.

- Chodzi mi o to, by opatrunek pozostał suchy - okrył ją starannie płaszczem. - W nocy w górach jest piekielnie zimno, niezależnie od pory roku. Jeśli więc nie ochroni cię to przed wilgocią, to przynajmniej choć trochę ogrzeje.

Nie potrzebowała płaszcza, tylko suchego ubrania, ale dotarło do niej, że przecież i tak wkrótce by zmokło. Z westchnieniem ostrożnie wsunęła zabandażowane ramię w rękaw.

- Czyje to? - spytała z roztargnieniem, gdy okazało się, że niezwykle obszerny płaszcz sięga jej prawie do kostek.

- Grady'ego.

Pobladła. Nagle poczuła, że musi to natychmiast zdjąć i zaczęła rozpinać guziki.

- Ty go włóż - powiedziała napiętym głosem.

- Nie - odmówił twardo. - On na pewno nie będzie miał nic przeciw temu, panno Talbot.

Ta impertynencka uwaga ponownie rozbudziła jej gniew.

- Jak można być tak gruboskórnym?

- Ale to przecież prawda, niezależnie od tego, jak brzmi - odparł spokojnie, zupełnie nie poruszony jej atakiem.

- Nic już nie możemy dla niego zrobić. Teraz musimy myśleć wyłącznie o sobie. Trzeba przetrwać do rana, a uleganie sentymentom na pewno w tym nie pomoże.

Zimna logika tego wyводу nieco ostudziła jej gniew. Ponownie zapięła płaszcz.

- Mógłbyś rozpaść ognisko. Ogrzaliłyśmy się przy nim i wysuszyli - wytknęła mu.

- Przecież pada - przypomniał z naciskiem.

- Cóż - niecierpliwym gestem odgarnęła z czoła mokre kosmyki.

- Podobno płynie w tobie indiańska krew. Jakiś głupi deszcz nie powinien więc być dla ciebie przeszkodą.

Przyjrzał jej się uważnie, unosząc do góry brew. Lea z zakłopotaniem zagryzła wargi. Jak mogła powiedzieć coś takiego? Wyszło na to, że jest rasistką i chce mu wytknąć pochodzenie. Jesteś czerwonoskóry, a nie w pełni biały. Wcale nie chciała go urazić, po prostu ta jego niepojęta obojętność doprowadzała ją do szału i dlatego odezwała się tak bezmyślnie.

Schylił się i podniósł czerwoną płachtę.

- Owszem, mógłbym rozpałcić ognisko - przytaknął drwiąco. - Najpierw musiałbym znaleźć w tej ciemności i deszczu suche drewno oraz coś na podpałkę. Po kilku godzinach może udałoby mi się rozpałcić jakiś mały ogieniek. Pewnie bardzo by nas to ucieszyło, oczywiście pod warunkiem, że przetrzymalibyśmy do tej pory.

- Przepraszam, nie pomyślałam o tym - spuściła z żenowaniem wzrok. - Ale przecież nie możemy tu tak siedzieć w nieskończoność. Czy nie byłoby lepiej poczekać do rana w samolocie?

- To zbyt niebezpieczne. Jego metalowy kadłub to nie- zły cel dla piorunów. - Rozwinął szeleszczącą płachtę. Wykonano ją z ortalionu, zaś odwrotna strona wyglądała jakby była zrobiona z aluminium i połyskiwała srebrzyście w świetle latarki. - Ponadto wyżej na zboczu znajduje się rumowisko. Deszcz może spowodować, że ziemia, żwir i odłamki skalne osuną się w dół, blokując drzwi samolotu. Znaleźlibyśmy się w pułapce.

Ponownie musiała przyznać, że jego argumenty są słuszne. To jednak w niczym nie zmieniało faktu, że mokła i robiło jej się coraz zimniej. Czowała, jak zęby zaczynają jej szczekać, a zranione ramię sztywnieje powoli i dokucza bardziej niż przedtem.

- Co w takim razie zrobimy? - Spojrzała na niego ze znużeniem. Skoro wszystkie jej pomysły okazywały się złe, to niech on znajdzie jakieś wyjście.

- Wstań - chwycił ją mocno za łokieć i podniósł. Owinął wokół niej część cienkiej płachty, tak by kawałek wystawał nad głową i tworzył coś w rodzaju kaptura.

- Przytrzymaj ten brzeg - przykazał i zauważył jej zdziwione spojrzenie. - Zawiniemy się razem, żeby nasze ciała ogrzewały się nawzajem. Ich ciepło wysuszy nieco ubrania, a ten materiał ochroni nas przed deszczem.

- Chcesz powiedzieć, że będziemy spali razem - podsunęła usłużnie. Trzęsa się cała i starała się tylko, by jej zęby nie szczękały zbyt głośno. - To przecież logiczne w tej sytuacji, prawda? - dodała uszczypliwie.

- Jak najbardziej - skinął głową, a na jego mokrej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

Pomyślała, że jej niezwykle pruderyjni rodzice chybaby umarli ze zgrozy, gdyby wiedzieli, że ich córka zamierza spać w objęciach zupełnie nieznanego człowieka. Była jednak zbyt przemarznięta i nieszczęśliwa, żeby się tym przejmować.

- No, to już - zgodziła się, z trudem odwzajemniając uśmiech.

Objął ją mocno w talii, a wolną ręką naciągnął płachtę wokół siebie. Ostrożnie położyli się razem na ziemi. Reilly spoczął na plecach, przyciągając Leę jak najbliżej siebie i kładąc jej głowę na swojej piersi. Krople deszczu bębniły o płachtę, lecz wodoodporny materiał chronił ich przed deszczem.

Początkowo było jej wciąż przeraźliwie zimno i mokro, potem jednak poczuła promieniujące z jego ciała ciepło. Odruchowo przytuliła się mocniej. Gdy Reilly zorientował się, że wstrząsają nią dreszcze, zaczął rozcierać jej ramiona i plecy, by pobudzić krążenie. Starannie przy tym omijał zranione miejsce.

- Lepiej teraz? - ciepły oddech owiał jej czoło.

- O, tak.

Masował ją nadal spokojnymi, jednostajnymi ruchami. Powoli ogarniało ją ciepło. Poczła się znowu jak człowiek, a nie jak przerażona, prymitywna istota, która myśli tylko o przetrwaniu. Przestała skupiać się wyłącznie na fizycznej stronie życia, jej umysł znów zaczynał pracować.

- Jutro złączą nas szukać, prawda? - spytała cicho.

- Tak - odpowiedział krótko.

- Jak sądzisz, ile czasu potrzebują, żeby nas odnaleźć?

- Trudno powiedzieć - odparł i zamilkł na jakąś minutę. Gdy Lea doszła do wniosku, że nie usłyszy już nic więcej, Reilly podjął temat.

- Nie nadaliśmy komunikatu o naszej sytuacji i położeniu. Grady skoncentrował się na uniknięciu katastrofy, nie miał czasu na połączenia radiowe. Nikt nie wie, że zboczył z kursu, by ominąć burzę. Najpierw złączą więc szukać wzdłuż wyznaczonej trasy samolotu, dopiero potem rozszerzą teren poszukiwań.

- Czyli mogą na nas trafić później niż jutro? Wyczła jego wahanie.

- Nie mają łatwego zadania. Obszar do sprawdzenia jest duży, w dodatku pełen rozpadlin, jarów i przepaści. Jutro więc chyba odpada. Może raczej niedziela. Albo poniedziałek.

Zadrzała, tym razem nie z zimna.

- Jak to dobrze, że brat nie miał pojęcia o tym, iż planuję złożyć mu wizytę. Zaoszczędziło mu to zdenerwowania. Przynajmniej teraz śpi spokojnie.

Wiedziała, że władze najpierw zawiadomią rodziców i dopiero oni poinformują Lonnie'ego. Przy odrobinie szczęścia, do tego czasu będzie już uratowana.

- Chciałaś mu zrobić niespodziankę? Przytaknęła, pocierając przy tym policzkiem o wilgotny materiał jego marynarki.

- Na urodziny. Są jutro - westchnęła z żalem, po czym stwierdziła, że nie powinna myśleć o smutnych rzeczach. - A czy na ciebie ktoś czekał?

- Tak, ale to ludzie, z którymi wiążą mnie jedynie interesy.

- Dla kogo pracujesz? - Odchyliła głowę do tyłu i usiłowała przebić wzrokiem ciemność, by ujrzeć choć zarys jego twarzy. Znajdowali się w tak intymnej sytuacji, że wszelka dyplomacja wydawała się zbyteczna. W normalnym, cywilizowanym świecie nie zdobyłaby się na tak otwarte postawienie pytania. Tutaj i teraz nie zamierzała ukrywać swojej ciekawości. - Wiem, że nie dla firmy mojego brata. Czyżby dla konkurencji?

- Pracuję dla siebie.

- Jesteś właścicielem kopalni?

- Nie - odparł cierpliwie, choć też z odrobiną rozbawienia. - Projektuję biżuterię.

- Ach - przypomniała jej się oryginalna ozdoba, jaką miał na szyi. - Z turkusów?

- Możesz to nazwać indiańską biżuterią, jeśli wolisz - zadrwił. Aż zeszywniała.

- Uwaga o twoim pochodzeniu wcale nie miała być obraźliwa. Wręcz przeciwnie. Było mi straszliwie zimno i rozpalenie ognia

wydawało mi się dobrym wyjściem. Ale po prostu nie wiedziałam, jak się za to zabrać. - Zamilkła na moment, poirytowana tym, że przypomniał jej o tamtej bezmyślnej wypowiedzi. - Grady wspominał, że jesteś częściowo Indianinem, podejrzewałam więc, iż pewnie potrafisz sobie poradzić w takich okolicznościach znacznie lepiej niż ja.

- Nie potrzebujesz się tłumaczyć. Domyśliłem się tego.

No, coś takiego! To w takim razie czemu najpierw spokojnie pozwolił się przeproszać, a dopiero potem raczył zauważyć, że nie ma takiej potrzeby? Nie było jednak sensu wszczynać kłótni, zwłaszcza, że to ona zawiniła.

- Po co leciałeś do Austin? - Skierowała rozmowę na bezpieczniejszy temat.

- W tamtejszych okolicach znajdują się duże kopalnie turkusów, czasami je odwiedzam - wyjaśnił z pobłażliwą cierpliwością. - Wybieram kamienie i kupuję bezpośrednio od nich.

Zastanowiła się, marszcząc czoło.

- Nie wiedziałam, że tam są takie złoża. - Pamiętała, że w listach Lonnie'ego nie znalazła żadnej wzmianki na ten temat.

- Owszem, jest jedno. Biegnie od samego centrum Newady na południe i w okolicach Tonopah skręca gwałtownie na północny zachód. Gdybyś je narysowała, miałoby kształt litery „J”.

- Sądziłam, że turkusy pochodzą głównie z Arizony.

- Uzyskuje się je jako produkt uboczny przy wydobywaniu miedzi. - Łagodnie odsunął do tyłu jej długie, wciąż wilgotne włosy i

wygładził je lekko. - Sądzę, że powinniśmy się trochę przespać. Jutro czeka nas pracowity dzień.

Wcale nie zamierzała kończyć rozmowy. Chciała nadal rozmawiać, by nie wracać myślami do katastrofy... do pilota...

- Chyba masz rację - przyznała z ociąganiem. Czy ten facet zawsze musi mieć rację? Powieki rzeczywiście zaczynały jej ciążyć. - Która może być godzina?

- Pewnie koło północy. Wygodnie ci?

- Dosyć. — Wygodniej ułożyła głowę na jego torsie. -

Dobranoc.

- Dobranoc.

Zapadła cisza. Mimo huku piorunów i jednostajnego bębnienia deszczu była to jednak cisza. Lea przywykła do zasypiania przy wtórze ludzkich głosów i warkotu samochodów dobiegających z ruchliwych ulic Las Vegas. Na ścianach pokoju kładły się migotliwe odbłaski niezliczonych neonów. Tutaj panowała nieprzenikniona ciemność. Pod sobą czuła twarde gruntu, który uwierał ją niemiłosiernie. Piers Reilly'ego pod jej głową unosiła się rytmicznie. Nic nie było takie jak zawsze.

Powinna teraz leżeć w jakimś łóżku, gdzieś w hotelu. Niedaleko znajdowałby się Lonnie. Coś ją ścisnęło w gardle. Najważniejsze, że pilot nie spoczywałby martwy w opuszczonym wraku samolotu.

- Gdybyśmy wylecieli wcześniej - zauważyła łamiącym się głosem - zdążylibyśmy do Austin przed burzą.

- I spotkałabyś się z bratem, ja ze znajomymi, a Grady poszedłby sobie na piwo - dokończył spokojnie niewzruszonym głosem. - Ale

tak się nie stało. Powracanie myślami do przeszłości niczego nie zmieni. Najlepsze, co można zrobić, to pogodzić się z faktami.

Po jej policzkach spływały łzy, gdy z goryczą uprzytomniła sobie, że on znowu ma rację. Jednak jego logiczne wywody w najmniejszym stopniu nie zmniejszały jej przygnębienia.

Spała bardzo źle. W dodatku, gdy wreszcie udało jej się zapaść w głębszy sen, obudził ją dziwny huk. Miała wrażenie, że ziemia pod nimi nieco zadrżała. Lea poruszyła się gwałtownie i otworzyła szeroko oczy.

- Co to było? - szepnęła ze zdumieniem i przestraszeniem. Oparła się na łokciu i próbowała podnieść, lecz obejmujące ją ramię przyciągnęło ją z powrotem do piersi.

- Nic, czym warto byłoby się przejmować - zapewnił uspokajająco. - Śpij.

Posłuchała go, chociaż z ociąganiem. Pewnie piorun uderzył gdzieś w pobliżu, pomyślała sennie.

ROZDZIAŁ TRZECI

To nie był piorun.

Poranne słońce świeciło jej wprost w oczy, lecz nie oślepiło na tyle, by nie zrozumiała, co się stało. Przed nią znajdowało się ogromne rumowisko. W nocy zwały ziemi, żwiru i skał osunęły się, grzebiąc pod sobą samolot.

Wyżej na stoku znajdowała się opuszczona kopalnia. W częściowo zasypanym wejściu widniały połamane drewniane stemple, na których niegdyś wspierał się strop. Nocna ulewa spowodowała, że leżące wokół hałdy wydobytego z wewnątrz gruzu runęły w dół kamienną lawiną. Stało się właśnie to, co przewidział Reilly. Gdyby nocowali w samolocie, znaleźliby się teraz w pułapce bez wyjścia.

Patrzyła na to kompletnie obolała i połamana, ale wiedziała przecież, że ten dyskomfort jest niczym w porównaniu ze świadomością, że mogłaby w tej chwili czekać na śmierć pod tymi zwałami skał.

W napięciu obserwowała stąpającego uważnie po rumowisku Reilly'ego. Przy każdym kroku żwir osypywał mu się pod nogami, grożąc kolejną lawiną. Zatrzymał się w końcu i ostrożnie zaczął odsuwać większe odłamki, pod którymi ukazała się biała płaszczyzna. Jednym ramieniem podtrzymywał opadający wciąż żwir, zaś wolną ręką odgarniał zawadzające mu kamienie. Lei wydawało się, że trwa to nieskończenie długo.

Próbował dostać się do luku bagażowego. Jego drzwi wygięły się i sterczały teraz częściowo uchylone, utrzymując się tylko na górnych zawiasach. Reilly musiał otworzyć je zupełnie, by mieć dostęp do środka.

Gdy udało mu się odsunąć ostatnie skały przytrzymujące drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem. Teraz one służyły jako bariera dla gruzu. Sięgnął do wnętrza i w mgnieniu oka wyciągnął swoją walizkę i torbę Lei.

Osuwające się kamienie zagrzechotały ostrzegawczo. Rzucił bagaż jak najdalej od samolotu i powoli zaczął opuszczać skrzydło drzwi. Nieświadomie wstrzymała oddech. Im bardziej zamykał drzwi, tym głośniejszy stawał się hurkot staczających się skalnych odłamków. Tuż nad nim znajdowało się wyglądające wyjątkowo niestabilnie wybrzuszenie, na które Lea patrzyła z ogromnym niepokojem. Reilly wyprostował się i ostrożnie posuwając się maleńkimi, powolnymi krokami, dotarł do rozrzuconych rzeczy.

Gdy wreszcie stanął na twardym gruncie, Lea odetchnęła z niewypowiedzianą ulgą. Podniósł bagaże i podszedł do niej.

- Teraz możemy się przebrać - bruzdy wokół jego ust pogłębiły się nieco. Domyśliła się, że miało to oznaczać uśmiech.

- Całe szczęście. - Czekwała na to z utęsknieniem. Rzeczy, które miała na sobie, wciąż były wilgotne po nocnym przemoknięciu.

- Masz jakieś spodnie?

- Tak.

- To włóż. I koniecznie buty na płaskim obcasie. Rozejrzała się dookoła. Znajdowali się na pustynnym płaskowyżu, z rzadka usianym rachitycznymi krzewami.

W zasięgu wzroku nie widać było żadnej wystającej skały ani niczego innego, za czym mogłaby się schować.

- Ale gdzie mam się przebrać? - spytała w końcu. Obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

- Gdzie tylko chcesz - wzruszył ramionami. - Miejsca jest dosyć.

- Miałam raczej na myśli coś bardziej osłoniętego. Nie zamierzam się rozbierać na twoich oczach.

- Chyba więc będziesz musiała przykucnąć gdzieś za krzakami - stwierdził obojętnie i pochylił się, by otworzyć walizkę. - Ja i tak jestem bardziej zainteresowany włożeniem czegoś suchego, niż podglądaniem ciebie.

Zacisnęła usta i uklękła przy swoim bagażu. Zaczęła przekładać rzeczy w poszukiwaniu czystej bielizny, bluzki i spodni. Robiła to bardzo ostrożnie, gdyż nie chciała urazić zranionej ręki. Dzisiaj bolała ją znacznie bardziej niż poprzedniego wieczora.

- Wcale nie chodziło mi o to, że będziesz się na mnie gapił - mruknęła, nieco obrażona.

- Tak? W takim razie o co? - spytał z jawną kpiną.

- Poczulałam potrzebę choć odrobiny prywatności - wyjaśniła z godnością i odłożyła na bok wybraną garderobę oraz pantofle na płaskim obcasie.

- Możesz jej tu mieć tyle, na ile pozwalają prymitywne warunki, w jakich się obecnie znajdujemy - zauważył beznamiętnie.

- Dzięki - demonstracyjnie głośno zamknęła torbę.

Podniosła się i pomaszerowała w kierunku niskich krzewów. Było jej głupio. Reilly wcale nie sugerował niczego nieprzyzwoitego, gdy stwierdził, że może się przebierać, gdzie tylko chce. Po prostu odpowiedział na jej pytanie, to wszystko. Zupełnie niesłusznie doszukiwała się w tym ukrytego znaczenia. Jej święte oburzenie i obrona obyczajnego zachowania okazały się nie na miejscu. Westchnęła. Znów wyszła na idiotkę.

- Chwileczkę!

Przystanęła i po chwili wahania odwróciła się. Wiedziała, że jest mu winna przeprosiny za to, że naskoczyła na niego bez powodu. Była na to jednak zbyt rozdrażniona.

- Co takiego? - spytała, chyba nieco za ostro.

- Wolałbym obejrzeć ranę, nim włożysz czystą bluzkę.

- Dobrze - skinęła głową i zniknęła za krzewami.

Dopiero gdy zdjęła przemoczone rzeczy, włożyła bieliznę oraz oliwkowozielone spodnie, dotarło do niej, o co mu chodziło. Chciał zbadać jej ramię, zanim się przebierze, a nie zanim włoży nową bluzkę. Stara miała odcięty rękaw, co dawało łatwy dostęp do opatrunku.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem swój koronkowy staniczek. Nie ma mowy, za żadne skarby świata nie pokaże mu się w samej bieliźnie! Jej wzrok padł na zmiętą, wilgotną szmatę, która jeszcze wczoraj była całkiem elegancką bluzką. Skrzywiła się. Nie miała ochoty wkładać tego ponownie.

- Coś ci powiem, Lea - mruknęła sama do siebie. - Czasem potrafisz naprawdę niezłe namieszać.

Starannie owinęła się czystą, zielono-żółtą bluzką, tak by ukryć nieprzyzwoitą nagość, a zarazem odsłonić chore ramię. Gdy wszystko było już skromnie zakryte, wyszła zza krzewów.

Reilly stał tyłem do niej, w ciemnoniebieskich dżinsach i wypuszczonej na wierzch białej koszuli. Wyglądało na to, że ją właśnie zapina.

- Czy zechciałbyś obejrzeć teraz moje ramię? - spytała nieco zaczepnym tonem. Czowała się bardzo niezręcznie i nie wiedziała, jak ma się zachować.

Spojrzał przez ramię, zostawił koszulę w spokoju i sięgnął po apteczkę.

- Tak - odparł spokojnie.

Podeszła do niego z dumnie uniesioną głową, by ukryć zażenowanie. Czowała, że jej puls przyśpiesza. Wzrok Reilly'ego przesunął się po widocznych nad koszulą białych ramiączkach bielizny. Lea zarumieniła się mocno.

- Nie rozumiałam, o co ci chodziło z tą nową bluzką - wyjaśniła zawstydzona.

- Domyśliłem się. Zamierzałem wyjaśnić sens mojej prośby, ale pomyślałem, że znów się obrazisz, zanim zdążę skończyć.

- Przepraszam - opuściła nieco głowę.

Przyjął jej przeprosiny bez słowa komentarza i ostrożnie odwinął bandaż. Zaczął delikatnie dotykać okolic rany. Lea skrzywiła się mimowolnie.

- Boli? - spojrzał na nią uważnie.

- To chyba oczywiste. - Zagryzła dolną wargę, by odwrócić swoją uwagę od ramienia.

- Wygląda całkiem nieźle. Czy masz wrażenie, że coś się tam głębiej znajduje? Może odłamek szkła? - dopytywał się.

- Nie. Po prostu boli.

- Założę nowy opatrunek.

Patrzyła przez chwilę na jego zręczne ręce. Potem jej wzrok przesunął się na kruczoczarne włosy, później na szyję, na oprawiony w srebro turkus, wreszcie na muskularny i idealnie gładki tors, który wyglądał niczym wykuty z brązu. Dopiero po paru chwilach zorientowała się, że Reilly skończył i zauważył jej spojrzenie. Zarumieniła się ponownie.

- Dziękuję - szepnęła i szczelniej otuliła się bluzką.

- Proszę bardzo - skinął głową nieco kpiąco i odwrócił się tyłem.

- Teraz możesz się ubrać. Oczywiście, pod warunkiem, że nie będziesz podglądać, jak wkładam koszulę w spodnie - dodał żartobliwym tonem.

Obiecała z rozbawieniem, że nie będzie podpatrywać i obróciła się również. Ostrożnie wsunęła zabandażowane ramię w rękaw. Gdy zapięła ostatni guzik, usłyszała głos Reilly'ego:

- Skończyłaś?

- Tak, możesz już się odwrócić. - Popatrzyła na niego z szerokim uśmiechem. Odpowiedział równie ciepłym i przyjaznym spojrzeniem.

- Jak się czujesz? Lepiej? - Sięgnął po dzinsową kurtkę, która leżała na jego walizce.

- Zdecydowanie - przytaknęła. - Suche i czyste ubranie to wspaniała rzecz. Gdyby tak jeszcze można było zjeść śniadanie...

- W tamtym metalowym pudełku znajdziesz suchary. Chwilowo tylko tyle mogę ci zaoferować. Poczekaj, aż nazbieram drewna na ognisko. Aha, w manierce mamy trochę wody, ale niedużo. Używaj jej oszczędnie.

- Dobrze - przyklękła przy pudełku i uniosła wieczko. Wewnątrz znajdowały się nie tylko suchary, ale również kilka paczek sproszkowanego prowiantu, który należało wymieszać z wodą i kawałkami suszonej wołowiny. - Nie przypuszczałam, że takie samoloty są wyposażone w racje żywnościowe.

- Bo nie są - wyjaśnił Reilly. - Po prostu Grady był przesądny.

- Nie rozumiem.

- Brał udział w wojnie w Korei, latał na lekkim samolocie zwiadowczym. Wtedy każdy woził ze sobą takie racje, na wypadek zestrzelenia. Gdyby przeżył upadek na ziemię, musiał jakoś dalej przetrwać. Pewnego razu Grady zapomniał o wzięciu żywności i akurat tego dnia trafili go. Spadł na korony drzew, dzięki czemu nie zginął, ale złamał przy tym nogę, nie mógł się więc ruszyć z miejsca. Na szczęście znajdował się na terytorium kontrolowanym przez nasze wojska, ale odnaleziono go dopiero po trzech dniach. Przysięgał, że omal nie umarł z głodu. Od tej pory nigdzie się nie ruszał bez zapasów, ale nie został też więcej zestrzelony. Uznał więc, że jedzenie na pokładzie przynosi mu szczęście i już zawsze woził je ze sobą jako coś w rodzaju talizmanu.

Lea spojrzała na częściowo rozwiniętą paczuszkę z sucharami. Jakoś nagle przestała być głodna.

- Tym razem talizman mu nie pomógł - powiedziała ze smutkiem.

Reilly pozostawił to bez komentarza.

- Zwróciłem mu kiedyś uwagę, że takie sproszkowane jedzenie nie na wiele się tutaj przyda, gdyż Newada nie cierpi na nadmiar wody, a bez niej ta żywność jest bezużyteczna. Odparł, że i tak na pewno z niej nie skorzysta, więc mu to nie przeszkadza.

Z żalem utkwiała wzrok w zakrywającym samolot rumowisku.

- Czy nie moglibyśmy go stamtąd wyciągnąć?

- Nie. Do tego są potrzebni ludzie i odpowiednie urządzenia, żeby powstrzymać osuwający się gruz. No, dobrze. Myślę, że pójdę się rozejrzeć i poszukać drewna. Trzeba go zebrać sporo, gdyż ognisko musi płonąć nieprzerwanie, żebyśmy w każdej chwili mogli dać znak, gdzie jesteśmy. Ty zostaniesz. Jesteś tu bezpieczna.

Lea wciąż wpatrywała się w kamienny grobowiec Grady'ego.

- Wolałbym, żebyś obserwowwała niebo. Wątpię, czy poszukujące nas samoloty dotrą tak daleko już dzisiejszego ranka, lecz nie można lekceważyć tej możliwości.

Jego zdecydowany ton przywołał ją do rzeczywistości. Trzeba myśleć o własnym ocaleniu, pilotowi nie da się już pomóc. Jeszcze raz spojrzała na trzymaną w dłoni paczkę sucharów.

- Będę uważać, czy już nie lecą - obiecała.

- Zawołaj, gdybyś mnie potrzebowała - uśmiechnął się na pożegnanie i odszedł w kierunku starej kopalni.

Patrzyła, jak zrećcznie wspinał się po zboczu, aż wreszcie zniknął za skalnym załomem.

Rozpakowała suchary, lecz zjadła tylko jeden. Resztę starannie zawinęła z powrotem. Gdy sięgnęła po manierkę, przypomniało jej się ostrzeżenie Reilly'ego o konieczności oszczędzania wody. Z wahaniem zbliżyła manierkę do spierzchniętych ust i wypila jedynie mały łyczek. Co za ironia losu, pomyślała. Człowiek czuje się o wiele bardziej spragniony, gdy wie, że nie może pić do woli. Powiodła wzrokiem po otaczającej ją pustyni i zrozumiała, że ta pełna manierka znaczy prawie tyle, co nic.

Odstawiła ją na bok i sięgnęła po kosmetyczkę. Oczyszczyła twarz tonikiem, nałożyła krem, a po chwili umalowała się. Starannie rozczesała długie włosy, mocno splecione po wypadkach wczorajszej nocy. Gdy znów były jedwabiste i lśniące, poczuła, że wstępuje w nią nowe życie. Można być ofiarą katastrofy, co w niczym nie zmienia faktu, że nadal jest się kobietą.

Z ożywieniem spojrzała na zachód. Stamtąd przyleci pomoc. Niebo było nieskalanie błękitne, burzowe chmury zniknęły bez śladu. Jakiś ptak unosił się leniwie nad krętą rysą, wyżłobioną wczoraj w zboczu przez kadłub samolotu. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żadnego innego śladu ludzkiej obecności. Żadnych zabudowań ani drogi.

Nagle zrozumiała, że są tu zupełnie samotni. Otaczały ich tylko martwe skały. Panująca wokół cisza wydawała się niemal nie do zniesienia. A jeśli nie zostaną odnalezieni? Wstała gwałtownie. Nie

wolno jej o tym myśleć, nie może dać się ogarnąć panice. Na pewno ich znajdą. Z całą pewnością. To tylko kwestia czasu.

Spojrzała w to miejsce, gdzie niedawno widziała Reilly'ego. Wolałaby, żeby już wrócił. Powiedziała by go zawołała w razie potrzeby. Rzeczywiście, potrzebowała teraz jego obecności, świadomości, że gdzieś w pobliżu znajduje się drugi, żywy człowiek. Powstrzymała się jednak.

Pomyślała, że najlepiej będzie czymś się zająć, inaczej na pewno wpadnie w histerię. Trzeba sobie znaleźć jakąś pracę, która odwróci jej uwagę i pomoże przetrwać do powrotu Reilly'ego. Rozejrzała się dookoła i jej wzrok padł na stertę wilgotnych, niedbale zwiniętych ubrań. Przecież tak nigdy nie wyschną.

Sięgnęła po leżącą na wierzchu bluzkę i poszła z nią w kierunku krzaków. Rozpostarła ją na gałęziach, chroniąc przy tym lewe ramię i posługując się głównie prawą ręką. Wróciła po następną rzecz. Celowo rozwieszała wszystko powoli, starannie wygładzając zagniecenia. Nie chciała, by zbyt szybko zabrakło jej zajęcia.

Gdy skończyła ze swoim ubraniem, wzięła się za rzeczy swojego towarzysza. Właśnie rozprostowywała rękawy jego brązowej marynarki, gdy usłyszała, że za jej plecami potoczył się jakiś kamień. Odwróciła się i zobaczyła Reilly'ego schodzącego po stoku. Niósł pełne naręczce drewna. Wyglądało to na fragmenty stempli, podtrzymujących niegdyś wejście do kopalni.

- Hej! - zawołała z ogromną ulgą i nie skrywaną radością. - Widzę, że nie wracasz z pustymi rękami.

- Na górze jest tego więcej, więc o nasze ognisko nie musimy się martwić - uśmiechnął się szeroko, w niczym już nie przypominając chłodnego, niedostępnego mężczyzny, jakiego znała przedtem. - Znalazłem jeszcze coś.

- Co takiego?

Na chwilę aż wstrzymała oddech. Wyczuła, że cokolwiek to było, ucieszyło go niezmiernie. Odgadywała to po jego rozpromienionych oczach. Może po drugiej stronie góry spostrzegł drogę?

- Wodę - powiedział krótko, zrzucając swoje brzemie. - Tam w górze utworzyła się spora skalna niecka. Po wczorajszej ulewie jest wypełniona prawie do połowy.

- Myślisz, że nadaje się do picia? - Żałowała, że nie znalazł raczej jakiegoś śladu cywilizacji, jednak z drugiej strony to też było wartościowe odkrycie. Usta miała suche jak pieprz.

- Tak, to deszczówka. - Zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się, gdy smagła twarz rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

- Mam ochotę wypić całą manierkę, żeby to uczić.

- Ależ proszę bardzo - podał jej wodę.

- Wiesz, człowiek to dziwne stworzenie - zauważyła po chwili Lea. - Teraz, gdy wiem, że mogę pić do woli, nie czuję już takiego pragnienia.

Reilly użył szerszego płatu drzewa, by oczyścić miejsce pod ognisko.

- Mogłabyś zebrać trochę kamieni?

Bołące ramię przeszkadzało, więc przyniesienie wystarczającej ilości kamieni zabrało jej nieco czasu. Reilly ułożył z nich okrąg, a w środku umieścił drobne drewnienka, które wystrugał z większych polan.

- Masz jakiś kawałek papieru? - spytał.

- Tylko chusteczki higieniczne.

- Powinny się nadać - wyjął z kieszeni zapalniczkę. Zmiał podaną chusteczkę i wsunął pod przygotowane drewno. Zapalił zapalniczkę, po czym, troskliwie osłaniając płomień dłonią, zbliżył go do chusteczki. Zajął się natychmiast, a od niej wystrugane patyczki. Reilly cały czas zasłaniał niewielki ogieniek, by nie zgasił go wiatr.

- Przy rozpalaniu ogniska można być pewnym tylko jednej rzeczy. Nieważne, skąd wieje i jak się ustawisz - rzucił Lei krótkie, rozbawione spojrzenie. - W momencie, gdy ogień chwyci, wiatr zmieni kierunek i dym nieuchronnie polecą wprost na ciebie.

- Czy to też część starej indiańskiej wiedzy? - roześmiała się.

- Jak najbardziej. - Stopniowo dodawał większe kawałki drewna, budując z nich coś w rodzaju piramidy.

Popatrzyła na kępy wysuszonej bylicy, które pokrywały cały płaskowyż. Tu i ówdzie sterczało pojedyncze drzewko pinii.

- Chyba nie grozi nam pożar trawy, prawda? - spytała z niepokojem. Starła się nie myśleć o tym, co by się wtedy działo.

- To mało prawdopodobne. Jeśli wiatr nie stanie się zbyt silny, to te kamienie skutecznie powstrzymają ogień przed rozprzestrzenianiem się. Zresztą, co może wydawać się dziwne, pożary suchej roślinności na pustyni zdarzają się niezmiernie rzadko.

- Czemu? - spytała z ciekawością.

- Właśnie z powodu suszy - padła zagadkowa odpowiedź. Po chwili wyjaśnił: - W tej ziemi znajduje się tak mało wilgoci, że rośliny nie mogą rosnąć zbyt blisko siebie. Ich systemy korzeniowe są bardzo rozwinięte nie tylko w dół, ale i na boki. Dlatego nie pozwalają wyrosnąć innym w pobliżu. Goła ziemia między kępami stanowi skuteczną ochronę przed ogniem.

Siedział w kucki przy drewnianym stosie, uważnie obserwując ledwie pełgający płomień. Dopiero teraz Lea zrozumiała, że, miał rację wczoraj w nocy. Nie wiedziała, że rozniecenie ognia wcale nie jest takim prostym zadaniem. Na piknikach polewało się polana benzyną i płomień buchał od razu...

- Skoro mamy wodę, to możemy przygotować jedzenie - zauważył Reilly.

- Sprawdź, co tam mamy - otworzyła metalowe pudełko. - Na przykład gulasz wołowy. Ale w czym my to podgrzejemy?

- Na zboczu leży kilka pogiętych kawałków metalu z naszego samolotu. Może z któregoś dałoby się uformować coś na kształt patelni.

- Zaraz zobaczę.

Chciała się podnieść, lecz powstrzymał ją gestem.

- Nie, lepiej ja poszukam. Nie chcę, żebyś pokaleczyła rękę. - Dołożył dwa większe polana, uważając, by zostawić prześwity dla cyrkulacji powietrza.

Nie zaprotestowała. Gdy zbierała kamienie, przekonała się, jak niewielki jest z niej pożytek. Posługując się tylko jedną ręką, robiła wszystko wolno i niezgrabnie.

Wrócił po chwili z poskręcany płatem metalu. Położył go na płaskim głazie i za pomocą kilku uderzeń ostrym odłamkiem skały usunął wystające zadziory. Potem wyrównał dno, zaś brzegi wygiął ku górze, tworząc ścianki.

- No, kucharko, może być? - Uniósł pytająco brwi.

- Ach, czyli jestem kucharką? - Z uśmiechem pokiwała głową.

W zielonych oczach błysnęła przekora.

- To naturalne, że mężczyzna poluje, a squaw gotuje, prawda?

Zdziwiła się, że mogą tak swobodnie żartować na temat jego indiańskiego pochodzenia po jej nieprzemyślanej uwadze, jaką wygłosiła w nocy.

- Tak, słyszałam coś o tym.

- W takim razie, co sądzisz o naszej patelni?

- Że zda egzamin. - Sięgnęła po nią i postawiła przed sobą na ziemi. - Czy możesz mi podać manierkę?

Przede wszystkim opłukała naczynie i wytarła je chusteczką. Na oko oceniła ilość potrzebnej wody, po czym dodała do niej sproszkowaną zupę i kawałki mięsa.

- Czym mogłabym w tym mieszać? - Spojrzała pytająco na Reilly'ego i nagle uśmiechnęła się. - Ale, jak my to w ogóle zjemy, nie mając łyżek?

- Zamieszaj tym - podał jej scyzoryk. - Myślę, że to, co się da, wybierzemy nożem, a resztę po prostu wypijemy.

- Czyli patelnia posłuży nam zarazem jako wspólna miska - skonstatowała.

Minęła jednak dobra godzina, zanim Reilly mógł wydobyć z ogniska kilka dostatecznie rozżarzonych polan, na których dałoby się podgrzać jedzenie. Po obu ich stronach ułożył kamienie, a na nich ustawił patelnię. Wkrótce gulasz zaczął bulgotać i dookoła rozszedł się smakowity zapach.

Przedtem jeszcze Reilly skonstruował z innych kawałków metalu dwie miseczki. Zdjął z krzaka starą bluzkę Lei i przez nią uchwycił gorący brzeg patelni. Ostrożnie napełnił naczynia i rażno wzięli się do jedzenia, wyławiając kawałki mięsa nożem i sucharami.

- Papierosa? - zaproponował, gdy skończyli.

- Chętnie.

Palili w milczeniu, lecz było to przyjazne milczenie ludzi, którzy się dobrze ze sobą czują. Lea skończyła pierwsza i cisnęła niedopałek do ogniska.

- Chyba powinnam pozmywać naczynia - westchnęła.

- Dobrze by było - zgodził się. - Mogą nam się przydać wieczorem.

Ta uwaga spowodowała, że Lea natychmiast spojrzała na niebo. Wciąż puste.

- Myślę, że do czyszczenia piasek nada się lepiej niż woda - odpowiedział.

Skorzystała z jego rady, za pomocą piasku doprowadziła patelnię do porządku, opłukała ją odrobiną wody i sięgnęła po miseczki. Reilly wziął manierkę i wylał zawartość na patelnię.

- Czemu to zrobiłeś?

- Pójdę ją napełnić. Chcę, żebyś zawsze miała pod ręką choć trochę wody. Gdybyś ujrzała szukający nas samolot, natychmiast wylej ją na ognisko.

- Ależ ono wtedy zgaśnie - zaprotestowała.

- Tak, lecz dzięki temu podniesie się kłęb dymu. Przy odrobinie szczęścia pilot powinien go zauważyć.

- Rozumiem - uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki. - Stary indiański trik. Znaki dymne.

- Właśnie - przytaknął i poszedł w kierunku zbocza. Lea starannie wyszorowała naczynia, po czym podeszła do krzaków, by obejrzeć rozwieszane ubrania. Wyschły na pieprz. Poskładała je i swoje schowała do torby, zaś rzeczy Reilly'ego ułożyła porządnie na jego walizce. Zabrało jej to sporo czasu, gdyż z lewej ręki wciąż miała niewiele pożytku, lecz jej towarzysz ciągle nie wracał. Słońce stało coraz wyżej na niebie, a jego palące promienie dawały się już porządnie we znaki. Dołożyła do ognia kilka polan, usiadła na ziemi i czekała.

W końcu ujrzała go na jednym ze skalnych występów. Powoli zaczął schodzić po stromym stoku, trzymając w jednym ręku manierkę, a w drugim długą deskę.

- Zastanawiałam się, czemu tak długo cię nie ma - zawołała, gdy znajdował się w połowie drogi. - Widzę, że szukałeś nowej porcji drewna do ogniska.

Odpowiedział dopiero, gdy znalazł się na dole.

- Nie, zamierzam rozłupać to na pół, żeby uzyskać dwie podpórki. Musimy schronić się przed słońcem; trzeba więc skonstruować jakąś osłonę.

Za pomocą noża rozszczepił deskę, potem zaostriął końce palików i wbił je pionowo w ziemię. Płachta, której użyli w nocy, miała na każdym rogu pętlę ze sznurka, łatwo więc było ją zawiesić i stworzyć coś w rodzaju parawanu.

- Jeśli nie będzie zbyt silnego wiatru, nie powinno się przewrócić. - Usiadł w cieniu, a Lea skwapliwie położyła się obok, uciekając przed bezlitosnym żarem.

Podniósł jedno z przygotowanych polan i zaczął je strugać.

- Co robisz? - spytała z ciekawością.

- Zobaczę, jakie jeszcze talenty we mnie drzemią. Może uda mi się zrobić łyżkę.

Leniwie śledziła wzrokiem połyskujące ostrze. Jego monotony ruch działał wybitnie usypiająco. Powieki zaczęły opadać.

- Czemu nie utniesz sobie drzemki? - zauważył Reilly. - Będę pilnował, czy nic nie leci.

- Chyba masz rację - przytaknęła, przestała walczyć z ogarniającą ją sennością i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przespała najgorętszą część dnia. Ten sam rytm równomiernie stukającego noża, który ukołysał ją do snu, był pierwszym odgłosem, jaki usłyszała zaraz po przebudzeniu. Reilly siedział obok, a trzymany przezeń drewniany przedmiot w dużym stopniu przypominał łyżkę.

Zamrugła i spróbowała usiąść. Zupełnie zapomniała o zranionym ramieniu i podparła się obiema rękami. Syknęła, gdy ostry ból przeszył lewą rękę. Natychmiast przeniosła ciężar ciała na prawą.

- Co za idiotka ze mnie - mruknęła.
- Tak cię boli? - spojrzał na nią z zaniepokojeniem.
- Tylko wtedy, jak zrobię coś równie głupiego.

Usiadła i ostrożnie położyła chorą rękę tak, by bezpiecznie spoczywała bez ruchu na udach. Suchość w ustach była nie do zniesienia. Lea rozejrzała się po obozowisku.

- Gdzie jest manierka?
- W cieniu, za tobą.

Woda była ciepła, lecz i tak przyniosła natychmiastową ulgę. Nad głową Lei zabrzęczała mucha. Spojrzała w górę.

- Ani śladu samolotu?
- Nie - zaprzeczył krótko, nie rozwodząc się nad tym faktem.

Milczeli przez kilka minut, po czym Reilly zakończył swoją pracę, położył łyżkę na ziemi, zaniknął scyzoryk, schował go do kieszeni i rzekł: - Potrzebujemy więcej drewna, by ognisko paliło się przez całą noc. Niedługo wrócę.

Gdy się oddalił, wstała powoli i przeciągnęła się, by rozciągnąć obolałe od spania na twardym gruncie mięśnie. Spojrzała przy tym mimowolnie w niebo i jej uwagę przykuł ciemny kształt.

Olbrzymi sęp zataczał koła w powietrzu. Naraz poczuła zadowolenie, że kamienna lawina pogrzebała samolot i Grady'ego. Pustynny grabarz tylko marnował swój czas.

Nie, lepiej o tym nie myśleć i nie patrzeć na krążącego złowieszczo ptaka. Odwróciła się w kierunku zachodu. Osłaniając oczy dłonią przed wiszącym nad horyzontem słońcem, uważnie przeczesywała wzrokiem niebo. Nic, nawet najdrobniejszej plamki. Ale na pewno już podjęto decyzję, żeby objąć poszukiwaniami większe tereny.

Rodzice też z pewnością zostali powiadomieni o jej zaginięciu, brat również. Och, Lonnie, nie mogłeś dostać gorszego prezentu na urodziny! Na myśl o tym, co musi teraz przeżywać jej rodzina, w oczach Lei pojawiły się łzy.

Nagle usłyszała huk. Strzelił gaźnik, przemknęło jej przez głowę w pierwszej chwili. Co za nonsens, przecież tu nie ma samochodów, zreflektowała się. Ktoś użył broni.

Przypomniało jej się, że Reilly nosi przy sobie pistolet. Do czego strzelał? Może do węża? Przeraziła się. Przecież na pewno cały ten rejon aż się roi od grzechotników!

- A jeśli go któryś ugryzł? - powiedziała na głos. To było całkiem możliwe.

Obróciła się na pięcie i pobiegła w kierunku zbocza. Nie było na nim nikogo.

- Reilly! Reilly!

- Wszystko w porządku! - odkrzyknął natychmiast.

Chwilę później pojawił się, wysoki, smagły, emanujący spokojem i pewnością siebie. Biała koszula, mokra od potu, przylegała do pięknie sklepionej piersi. Lea dopiero teraz poczuła, że nogi się pod nią trzęsą ze zdenerwowania.

- Słyszałam strzał - zawołała.

Podniósł rękę, w której trzymał martwego zająca.

- Nasza kolacja - wyjaśnił zwięźle. - Zejdę, gdy tylko zbieram trochę drewna.

Patrzyła przez chwilę w miejsce, gdzie zniknął. Wyglądał tak atrakcyjnie i zniewalająco, że nie mogła tego nie zauważyć. Ciekawe, jakie lubił kobiety. I czy teraz ma jakąś?

Przypomniały jej się silne ramiona, które trzymały ją w bezpiecznym uścisku dzisiejszej nocy i umięśnione ciało, które znajdowało się tak blisko. Uświadomiła sobie, że jest zazdrosna o jego kobiety. Reilly, jako kochanek... Potrząsnęła głową, odganiając od siebie tę myśl. Zapędziła się trochę za daleko.

Wróciła do obozowiska, gdzie uklękła przy pudełku z żywnością. Lepiej skoncentrować się na kolacji. Do tego zająca najlepiej będą pasować jakieś warzywa.

Gdy parę minut później pojawił się Reilly z naręczem drewna, Lea starannie mieszała na patelni wywar z suszonych jarzyn. Teraz, gdy w pełni zdawała sobie sprawę z jego atrakcyjności, było jej bardzo trudno nie patrzeć na niego. Musiała się jednak jakoś opanować.

- Mam nadzieję, że nie liczysz na to, że go wypatroszę. Nawet nie wiem, jak się ściąga skórę... - Obrzuciła martwe zwierzątko pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

- W takim razie możesz patrzeć jak ja to robię uśmiechnął się szelmowsko.

- Wielkie dzięki, ale nie skorzystam. - Odwróciła się szybko plecami, zdążyła jednak zauważyć szatański błysk w jego oku. - Zajmij się zającem, a ja resztą obiadu. - Nie była specjalnie przewrażliwiona, jednak wolała uniknąć niemiłego widoku. - Gdy usłyszałam strzał, myślałam, że zaatakował cię grzechotnik.

- Za gorąco dla nich, w taki upał kryją się pod kamieniami. Polują tuż przed wschodem słońca albo dopiero po zachodzie - wyjaśnił. - Poza tym, są raczej strachliwe. Nie atakują ludzi, chyba że ktoś na nie nadeptnie.

- W takim razie pilnuj, żeby nie wychodziła na zbyt długie spaceru.

Roześmiał się cicho. Podobał jej się jego śmiech. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na męskie, zdecydowane rysy szczupłej twarzy. Tak, dużo rzeczy jej się w nim podobało.

Gdy zjedli upieczonego zająca, siedzieli w milczeniu i wpatrywali się w pomarańczową kulę słońca wiszącą tuż nad horyzontem. Wyniosłe szczyty łańcuchów górskich wyglądały jak skąpane w ogniu. Otaczała ich nieskażona, dzika przyroda. Wydawało się, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi.

- Jak myślisz, czy jutro nas odnajdą?

- To możliwe.

Ogarnął ją nagły strach. Odwróciła się do niego.

- A jeśli nie znajdą nas w ogóle? Jeśli zostaniemy tu na zawsze?

Przez długą chwilę patrzył jej głęboko w oczy, wreszcie uśmiechnął się leciutko i potrząsnął głową.

- Nie zostaniemy. Wydostaniemy się stąd.

- Oczywiście - odetchnęła i zganiła się w myślach za to, że na chwilę uległa panice.

Przecież katastrofa miała miejsce przed niecałą dobą. Dopiero dziś rano zaczęto ich szukać, kilkanaście godzin temu. To tylko jeden dzień. Jeden dzień, a przecież tak niewiarygodnie długi.

Reilly wstał, dołożył drewno do przygasającego ognia i zdjął z palików płachtę, by ponownie mogła służyć jako posłanie.

Korzystając z oświetlenia, jakie dawały ostatnie promienie słońca, oczyścił i wygładził miejsce, gdzie mieli spać.

Gdy tylko zapadł zmierzch, powietrze bardzo szybko stało się chłodne. Lea przysunęła się bliżej do ogniska, lecz nie mogło ono ogrzać jej pleców. Gdy zaczęła się trząść z zimna, Reilly stwierdził, że najwyższy czas, aby się położyli. Przytulili się do siebie, jak poprzedniej nocy, a nad nimi błyszczały gwiazdy.

Drugi dzień wydawał się jeszcze dłuższy niż pierwszy. Wczoraj mieli sporo zajęć, trzeba było wydobyć bagaże z samolotu, znaleźć wodę i drewno, skonstruować naczynia... Teraz nie mieli wiele do roboty i każda minuta ciągnęła się niemiłosiernie.

Przez wiele godzin bezustannie wpatrywali się w bezchmurne niebo. Lea ledwo wytrzymywała przymusową beczynność, nerwy

miała napięte jak postronki. Reilly zaś zachowywał kamienny spokój i wydawało się, że nic nie jest w stanie go poruszyć.

Nagle spostrzegła coś. Skoczyła na równe nogi i wskazała palcem miejsce, gdzie zauważyła odbłask słońca na metalowych skrzydłach.

- To samolot, prawda?

Stał obok niej i po chwili on również spostrzegł lecącą w oddali maszynę.

- Tak - przytaknął spokojnie.

- Dam im znak, gdzie jesteśmy.

Odwróciła się szybko, by sięgnąć po manierkę i zalać ogień. Silna dłoń chwyciła ją za nadgarstek i przytrzymała w miejscu.

- Jest za daleko.

Wpatrywała się w maleńki punkcik i żarliwie błagała w duchu, by skierował się w ich stronę. On jednak leciał na południe, wciąż mniejszy i mniejszy, aż w końcu zniknął zupełnie.

- Wróci - powiedziała z przekonaniem, starając się ukryć rozczarowanie, o ile nie rozpacz.

Ale nie wrócił.

Tej nocy spała bardzo źle. Obolałe mięśnie protestowały przeciw kolejnemu noclegowi na twardej niczym kamień ziemi. Reilly spał jak zabity, co dodatkowo doprowadzało ją do furii. Obudził się tylko dwa razy, by wysunąć rękę spod przykrycia i dołożyć do ognia.

Zapadła w końcu w męczący półsen, lecz wkrótce obudziła się ponownie. Świtało. No, tak, już rano, a ona wcale nie odpoczęła. Z niechęcią wpatrywała się w błękitne niebo, a pulsujący ból w lewym

ramieniu coraz bardziej dawał jej się we znaki. Spróbowała zmienić pozycję, by trzymać rękę w wygodniejszy sposób.

Gdy położyła się na boku, spojrzała w twarz Reilly'ego. Spał głęboko i spokojnie, co wywołało w niej niczym nie uzasadniony gniew. Miała ogromną ochotę obudzić go. Skoro ona nie może spać, to niech on też się trochę pomęczy. Całkiem poważnie rozważała taką możliwość, gdy czarne rzęsy uniosły się nieco, a pod nimi ukazały się niezwykle zielone i jak zwykle nieprzeniknione oczy.

- Dzień dobry - przywitał ją uprzejmie. Widać było, że jest wypoczęty i świetnie się czuje.

- Nie wiem, co w nim takiego dobrego - warknęła z irytacją i szarpnęła za róg płachty, którą Reilly trzymał w dłoni. Gdy puścił, odrzuciła ją na bok i podniosła się niezgrabnie. Miała wrażenie, że jest kompletnie połamana.

Wstał również, z taką łatwością i gracją, jakby spanie w tak niedogodnych warunkach nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. Wyglądał, jak gdyby spędził całą noc w puchowych piernatach.

- Chyba ktoś dzisiaj źle spał - zauważył z lekkim rozbawieniem.

- W ogóle nie spałam! Za to ty chrapałeś za nas dwoje - mruknęła z ironią.

- Nie sędzę. Zresztą też trudno mi było wypocząć, gdyż w moim łóżku coś się strasznie wierciło przez całą noc.

Odgarnęła z twarzy potargane włosy i spojrzała na niego. Czowała się paskudnie, zaś on wydawał się rześki i wypoczęty. Miała mu to za złe, choć przecież nie był niczemu winien. Wiedziała, że zachowuje się niesprawiedliwie, lecz nic nie mogła na to poradzić.

- Ciesz się, że cię nie ugryzło - odcięła się.

Przyklękła przy torbie i zaczęła przerzucać jej zawartość w poszukiwaniu świeżej bluzki. Podejrzewała, że on skwituje jej zjadliwą odpowiedź śmiechem i przysięgła sobie w duchu, że wtedy czymś w niego rzuci. Chyba wyczuł, że Lea z trudem hamuje wybuch, gdyż nie wracał już do drażliwego tematu.

- Nastaw wodę, żeby się zagrzała, dobrze? Chciałbym się ogolić.

- Zabrzmiało to raczej jak rozkaz, nie jak prośba.

Jego ton rozzłościł ją.

- Sam sobie nastaw! - odparowała, po czym zrobiło jej się strasznie głupio. Jak ona może się tak zachowywać? Czy to jego wina, że się nie wyspała? Spojrzała na niego z ukosa i zauważyła, że oczy Reilly'ego zwięzły się niebezpiecznie.

- W porządku, zrobię to - powiedziała gderliwie, jednak coś ją podkusiło, by dodać: - Przecież to kobiece zajęcie, prawda? Akurat dla squaw, nie dla wojownika?

Wyraz smagłej twarzy ostrzegł ją, że przeciąga strunę.

- Próbujesz wywołać awanturę?

- Nie - westchnęła z rozdrażnieniem.

- To dobrze - odpowiedział i zniknął w zaroślach.

Wygarnęła z ogniska kilka żarzących się głowni i ułożyła wokół nich cztery kamienie, na których postawiła patelnię z wodą. Korzystając z tego, że była sama, zdjęła pomiętą bluzkę i włożyła czystą żółtą koszulę. Robiła to niezwykle ostrożnie, gdyż tępy ból w lewym ramieniu nie ustawał ani na chwilę. Zapinała ostatni guzik, gdy wrócił Reilly.

- Twoja woda się zagotowała - poinformowała go chłodno.
- Dzięki - odparł podobnym tonem. Ujął patelnię przez chusteczkę i zestawił ją na ziemię. Zawahał się. - Może chciałabyś się najpierw umyć?

Potrząsnęła głową i sięgnęła po kosmetyczkę. Oczyszczyła twarz tonikiem, potem nakremowała ją lekko. Znajdujące się po wewnętrznej stronie wieczka lusterko znalazło się akurat pod takim kątem, że mogła widzieć nie tylko własne odbicie, lecz również i Reilly'ego.

Zauroczone, trochę przejęta intymnością sytuacji podglądała, jak on się goli. Patrzyła na smukłe palce trzymające maszynkę, na brązową skórę wyłaniającą się spod białej piany, na mocny zarys brody... Gdy opłukał twarz, nie mogła się powstrzymać od wygłoszenia pewnej uwagi.

- Wydawało mi się, że Indianie się nie golili.

- Bo to prawda. - Schował przybory do swojej walizki. -

Wyrywali sobie zarost włos po włosie.

Lea aż się wzdrygnęła na tę myśl.

- Co z twoim ramieniem? Nadal boli? - spytał, wciąż tym samym chłodnym i obojętnym tonem.

- Trochę.

- Chciałbym je obejrzeć - podszedł do niej.

- Nie trzeba - zareagowała gwałtownie. Po dzisiejszych spięciach nie miała ochoty, żeby się nią zajmował. I ten jego ton... - Boli, ponieważ się goi. To normalne.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mamy zbyt wiele bandażu. Może rzeczywiście na razie nie zmieniać opatrunku? Jak sądzisz?

- Mówiłam już, że nie ma takiej potrzeby - powtórzyła.

- Świetnie. Idę po drewno, ty tymczasem zjedz coś.

- Nie jestem głodna.

- Ale to ci dobrze zrobi - podkreślił z naciskiem.

- Chcesz powiedzieć, że poprawi mi nastrój? - Lea zrozumiała aluzję. - Nic z tego, nie chce mi się jeść.

Przez chwilę panowała napięta cisza.

- Wiem, że nie spałaś dzisiejszej nocy - powiedział cicho, a ton jego głosu nie wróżył nic dobrego. - Tym niemniej, panno Talbot, proponuję, by przestała się pani za to odgrywać na mnie.

Oddalił się, a ona westchnęła ciężko. Już nie jest dla niego Lea, tylko obcą kobietą, panną Talbot. Wiedziała, że zasłużyła sobie na takie traktowanie.

Aby poprawić sobie nastrój, umalowała się lekko i rozczesała włosy. Zsunęła pantofle, by wytrząsnąć z nich piasek. Gdy zdjęła skarpetki, skrzywiła się z dezaprobatą na widok swoich brudnych stóp. Nagle jej wzrok padł na patelnię z jeszcze ciepłą wodą. Wahala się tylko przez chwilę.

Wyjęła z kosmetyczki małe turystyczne mydełko i starannie umyła nogi. Opłukała je resztą wody z manierki, wytarła bluzką, którą nosiła poprzedniego dnia i wylała brudną wodę. Włożyła czyste skarpetki i uznała, że czuje się o wiele lepiej. Prawie tak, jakby wzięła kąpiel. Pomyślała, że gdy już zostaną odnalezieni, pierwsze, co zrobi,

to wejdzie do wanny z gorącą wodą i spędzi w niej godzinę. Może więcej...

Gdy zaczęła wkładać pantofle, usłyszała dziwny warkot. Zamarła, próbując rozpoznać źródło dźwięku. Nie wiedziała, skąd dochodzi, jednak stawał się z każdą chwilą donośniejszy.

Nagle zrozumiała. Samolot! Spojrzała na zachód i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Leciał wprost na nią i znajdował się już bardzo blisko. Pewnie wiejący ze wschodu wiatr wytłumiał odgłos silników i dlatego usłyszała go dopiero teraz.

Zawołała Reilly'ego, chwyciła manierkę i przechyliła ją nad ogniskiem. Wyciekło tylko parę kropel. Lea patrzyła na to z niedowierzaniem.

- Ty kretynko! - wykrztusiła sama do siebie.

Warkot silników rozlegał się prawie nad jej głową. Spojrzała w górę. Samolot kierował się na wschód, nie dając nawet znaku, że ich spostrzeżono.

- Tu jesteśmy! - krzyknęła, biegnąc za cieniem maszyny i gorączkowo machając rękami. - Tutaj, na dole!

Reilly zbiegał szybko po stoku, a spod jego stóp osuwały się kamienie.

- Zalej ognisko! Przystanęła.

- Nie ma już wody! Zużyłam ją!

Jego twarz steżała, lecz ani słowem nie skomentował jej głupoty. Nie zwalniając kroku, dobiegł do obozowiska i chwycił płachtę.

- Machaj tym! - rozkazał. - Aluminiową stroną do góry.

Zauważyła kątem oka, że klęka przy jej kosmetyczce, ale nie zwracała na to uwagi. Chwilę później stał przy niej z lusterkiem w dłoni i dawał nim znaki, podczas gdy Lea rozpaczliwie machała płachtą. Samolot nie zbaczał z trasy ani na jotę.

- Wróć! - krzyknęła. Ramiona opadły jej bezwładnie. Nie miała siły podnieść ich choćby jeszcze jeden raz.

Maszyna poleciała prosto w stronę słońca i zniknęła. Po policzku Lei spłynęła łza, potem druga, trzecia, aż w końcu płynęły już nieprzerwaną strugą.

- Nie widzieli nas - szepnęła przez ściśnięte gardło. Spojrzała na Reilly'ego, który wpatrywał się w puste niebo. Odwrócił się, rzucił jej krótkie, gniewne spojrzenie i bez słowa wrócił do ogniska.

- Tak mi przykro, naprawdę. - Szła za nim bezwiednie, wciąż ściskając w dłoni sztywną płachtę, która wlokła się za nią po ziemi. - Wiem, że to moja wina. Nie zdawałam sobie sprawy, że zużyłam całą wodę do mycia nóg.

- Do mycia nóg? - powtórzył potępiająco. Wymowne spojrzenie zdradzało jego myśli, mimo iż nie wypowiadał ich głośno.

- Były brudne - wyjaśniła bezradnie.

Bez słowa zaczął dokładać do ognia, a jego milczenie okazało się gorsze niż wszelkie wyrzuty i oskarżenia. Poczula, że dłużej tego nie zniesie. Tłumione od rana gniew i uraza wybuchły ze zdwojoną siłą.

- Czemu nic nie mówisz? - zaatakowała znieczeka. - Dlaczego na mnie nie nakrzyczysz, nie powiesz, że postąpiłam idiotycznie?

Oboje wiemy, że tak właśnie było. Zdenerwuj się, zrób coś! Przestań zajmować się tym cholernym ogniskiem, jakby się nic nie stało!

- To niczego nie zmieni - odpowiedział spokojnie, wstał i wytarł dłonie o spodnie. Jego niewzruszona twarz wyglądała niczym wykuta z kamienia. - Idę napęścić manierkę i nazbierać drewna.

Westchnęła.

- A jeśli samolot wróci?

- Zawołaj mnie i machaj płachtą.

Gdy zniknął w górze stoku, osunęła się bezsilnie na kolana. Jej zdrętwiałe palce wreszcie rozluźniły swój kurczowy uchwyt i wypuściły płachtę, która z szelestem opadła na ziemię, odbijając promienie słońca.

Miała wrażenie, iż wypaliła się do końca, że nie zostało w niej już nic. Pragnęła schować twarz w dłoniach i rozpłakać się z całego serca, jednak nie odważyła się spuścić oczu z nieba. Zawsze istniała szansa, choćby najmniejsza, że samolot wróci. Nie mogła jej przegapić powtórnie.

Otarła łzy i nastawiła uszu, by pochwycić warkot silników. Jedyne, co usłyszała, to staczające się po zboczu kamienie, co oznaczało powrót Reilly'ego.

Położył nowe polana przy ognisku i podał jej manierkę.

- Napij się.

Spojrzała tak, jakby w naczyniu znajdowała się trucizna. Było jej gorąco i strasznie chciało jej się pić, skoro jednak woda mogła ich ocalić, to nie zamierzała uszczuplać jej zapasów.

- Nie - powiedziała stanowczo. Widać było, że się zirytował.

- Jeden łyk niczego nie zmieni. Pij - rozkazał. Posłuchała go niechętnie, pociągając niewielki łyżeczek, by zwilżyć zaschnięte usta. Oddała manierkę, nie patrząc mu w oczy. Nie miała odwagi.

Odstawił manierkę, sięgnął po płachtę i zaczął konstruować parawan. Lea patrzyła na to ze ściągniętymi brwiami.

- Czy nie będziemy jej potrzebować, by dać znaki, gdy coś nadleci?

- Można ją zdjąć w jednej chwili - stwierdził, nie przerywając pracy. - Na razie niech nas ochroni przed słońcem.

Odwróciła wzrok i zaczęła się wpatrywać w tańczące płomienie. Powietrze było parne, gęste od upału.

- Przelecieli prawie dokładnie nad nami - szepnęła w zamyśleniu. - Wcale ich nie słyszałam, spostrzegłam dopiero gdy znajdowali się już bardzo blisko. Dlaczego nas nie zauważyli?

- Po pierwsze, lecieli pod słońce. Zdolność widzenia jest wtedy znacznie ograniczona. - Umocował ostatni róg płachty. - Po drugie, szukali rozbitego samolotu - skinął głową w kierunku zbocza - a nie ogromnej sterty kamieni, pod którą w rzeczywistości jest pogrzebany.

- Ale ujrzeliby dym, gdybym zgasiła ogień - westchnęła. - To moja wina.

- Przestań się wreszcie nad sobą użalać - skarcił ją gniewnie.

- Wcale się nie użalam! - zaprotestowała z nagłym oburzeniem.

- Właśnie, że tak. Ale to niczego nie zmieni.

- Nigdy nie mówiłam, że zmieni - odparowała.

- W takim razie skończ z tym biadoleniem i skup się na tym, co będzie. Trzeba być przygotowanym na ewentualny powrót samolotu.

Wstrzymała na chwilę oddech.

- Myślisz, że wróci?

- Nie wiem - odparł, a wyraz jego twarzy nie pozwalał odgadnąć, co Reilly naprawdę myśli i w co wierzy.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chmura przesłoniła chylące się ku zachodowi słońce, nie zmniejszyło to jednak upału. Bluzka Lei, wilgotna od potu, przylegała do ciała niczym druga skóra. Rana na lewym ramieniu paliła żywym ogniem. Dawał o sobie znać poranny wysiłek, kiedy to dawała znaki płachtą.

Bezwiednie przycisnęła dłoń do rozpalonego czoła, po chwili ociężale podniosła głowę i odgarnęła włosy z twarzy. Przez cały dzień czekali na powrót samolotu. Bezskutecznie.

Reilly siedział nie opodal, bezustannie wpatrując się w puste niebo, jednak wydawał się błądzić myślami daleko stąd.

- Jak myślisz, jak długo będą nas szukać? - zadała wreszcie pytanie, które dręczyło ją od wielu godzin.

Spojrzał na nią z nieodgadnionym i trochę nieobecny wyrazem twarzy.

- Trudno powiedzieć. Takie poszukiwania są kosztowne i czasochłonne. Lokalne władze będą je kontynuować najwyżej przez kilka dni, potem zawiadomią wszystkich, którzy latają na kursach gdzieś w tej okolicy, by mieli oko na ślady katastrofy. Może poproszą inne firmy, by wysłały po jednej czy dwie maszyny na zwiad.

Nie brzmiało to wcale pocieszająco. Wyglądało na to, że mogą tu czekać jeszcze ładnych kilka dni. I to z jej winy.

Reilly jednak miał rację, wyrzuty sumienia niczego nie zmieniają.

- Chyba przygotuję coś do jedzenia - mruknęła. Właściwie wcale nie odczuwała głodu. Po południu zmusiła się do przełknięcia kilku kęsów przygotowanej wołowiny, gdyż wiedziała, że powinna coś zjeść. Teraz też nie była głodna, ale liczyła na to, że zajęcie się posiłkiem odwróci jej uwagę od niewesołych myśli.

Po trzech dniach wybór sproszkowanych dań nie był zbyt duży. Sięgnęła po jedną z torebek i kątem oka zauważyła, że Reilly klęka przy ich bagażach. Nagle aż otworzyła usta ze zdziwienia. To jej torbę otworzył i przeszukiwał zawartość!

- Co ty sobie właściwie wyobrazasz? - spytała gniewnie, zrywając się na równe nogi. Podeszła do niego, lecz nawet na nią nie spojrzął. - To moje osobiste rzeczy i nie masz prawa w nich grzebać!

Nie zwracając na nią uwagi, bezceremonialnie odsunął na bok bieliznę i zaczął przeglądać inne rzeczy. Próbowwała wyrywać mu je z rąk i wpychać z powrotem, jednak przerzucał je tak szybko, że nie mogła nadążyć.

- Słyszałeś, co powiedziałam? - wysyczała w końcu z furją.

- Niczego przecież nie kradnę - odezwał się wreszcie. - Chcę się tylko zorientować, czy masz coś odpowiedniego na pieszą wędrowkę.

- Mogłeś spytać! - parsknęła, próbując uporządkować rozrzucone ubrania. - Nie musiałeś przewracać wszystkiego do góry nogami.

- Wiem, że jesteś bardzo skromna, ale naprawdę nie musisz się aż tak wstydzić. Nieraz oglądałem damskie fatałaszkę... - Trzymał w ręku beżowe sztruksowe spodnie i białą bluzę w subtelne, złote i brązowe romby. - To powinno się nadać.

Lea przykucnęła i spojrzała z osłupieniem w pozbawioną wszelkiego wyrazu twarz.

- Nadać się? Do czego? - Nagle dotarło do niej, co przed chwilą powiedział. - Piesza wędrówka? Co to ma znaczyć?

- Opuuszczamy to gościnne miejsce - odparł spokojnie i sięgnął po jej kosmetyczkę. - Masz jakiś krem?

- Tak. - Otworzyła ją i podała mu słoiczek. - Po co ci on? Chwileczkę, jak opuszczamy?

- Zwyczajnie, na nogach. - Spojrzał na nią przelotnie, otworzył słoiczek, nabrał odrobinę kremu i roztarł w palcach. - Może być. Przynajmniej trochę ochroni twoją jasną skórę przed słońcem.

- Pieszko? Chyba oszalałeś! - Ogarnęła wzrokiem łańcuchy górskie, ciągnące się jak okiem sięgnąć.

- Pozostanie tutaj to jeszcze większe szaleństwo - mruknął i znów zajrzał do bagażu, tym razem swojego.

- Wiem, że uważasz mnie za głupią...

- Niczego takiego nie myślę - przerwał jej.

- ... ale wiem też, że jeśli się zgubisz i ktoś cię szuka, to należy siedzieć w jednym miejscu, a nie łązić nie wiadomo dokąd. Nawet nie wiemy, gdzie się znajdujemy!

Wyjął dwie wygniecione koszule i zamknął walizkę.

- Mniej więcej mam pojęcie.

- Wspaniale - mruknęła z gryzącą ironią. Gdy wstał, podniosła się również i podążyła za nim jak cień. - Czy to oznacza, że jesteśmy gdzieś w Newadzie? Tyle to ja sama potrafię odgadnąć.

Zatrzymał się nagle i niemal wpadła na niego. Spojrzał na nią surowo.

- Znajdujemy się na wschodzie łańcucha górskiego Monitor Range, a to oznacza, że najbliższe miasto jest oddalone o prawie sto kilometrów w linii prostej. W górzystym terenie będzie to jakieś sto trzydzieści, sto czterdzieści.

- Umrzemy, gdy, opuścimy to miejsce! - zaprotestowała.

- Równie dobrze grozi nam śmierć tutaj - odparował.

- Tak, ale... Tutaj przynajmniej możemy zostać zauważeni, dać znak następnemu samolotowi, gdy nadleci.

- Tylko kiedy to nastąpi? - Patrzył na nią uważnie. - Jutro? Pojutrze? A może za wiele dni?

- Nie wiem - machnęła ręką. - Ale w końcu nastąpi. Moi rodzice i brat nie spoczną, dopóki mnie nie odnajdą. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości!

- To potrwa, a czas pracuje na naszą niekorzyść. Jak to?

- Za trzy lub cztery dni zabraknie nam pożywienia, wody oraz sił, by stąd uciec - wyjaśnił spokojnym tonem.

- Przecież... — spojrzała w górę stoku.

- Wody w niecce jest coraz mniej. W tym upale paruje bardzo szybko.

Nie pomyślała o tym, cały czas sądziła, że przynajmniej o wodę nie muszą się martwić. Nagle poczuła się kompletnie bezradna.

- Powinieneś był mnie uprzedzić.

- Być może.

Przyjął tę samą obojętną postawę wobec roztrząsania przeszłości, jak wtedy, gdy się dowiedział, że zużyła cały zapas wody do umycia nóg. Gdy już coś się stało, to jest to nieodwracalne i nie miało sensu rozwodzenie się nad tym, gdyż to do niczego nie prowadziło.

- Jeśli nawet chcielibyśmy udać się po pomoc - logiczne wywody Reilly'ego wciąż jej jakoś nie przekonywały - to w którą stronę mielibyśmy iść?

- Na południe.

- Dlaczego? Czemu nie na zachód? Przecież po zboczeniu z kursu lecieliśmy na wschód, powinniśmy więc chyba zawrócić?

Odetchnął głęboko, jakby jego cierpliwość zaczynała się wyczerpywać.

- Góry biegną z południa na północ. Nie mam pojęcia, ile grzbietów musielibyśmy pokonać, zanim dotarlibyśmy do ludzkich siedzib. Ciągłe wspinanie się i schodzenie zabrałoby nam zbyt wiele czasu i sił. Dlatego wędrówka na zachód lub na wschód odpada. Spójrz na północ. Same góry. Za to w kierunku południowym rozciąga się dolina. Będzie nam nią łatwiej i szybciej iść aniżeli po grzbiecie.

- Możemy się wtedy łatwo zgubić - zauważyła.

- Ja się nie zgubię - zapewnił ją sucho.

Jego pewność siebie rozzłościła ją. Ponieważ jednak zbił wszystkie argumenty, została jej tylko kpina.

- No tak, jak mogłam zapomnieć, że jesteś Indianinem - zauważyła zjadliwie. - Ty się nigdy nie zgubisz. Jego rysy stwardniały niebezpiecznie.

- Jakbyś zgadła.

Zacisnęła usta w wąską kreskę i odwróciła wzrok.

- Ja jednak uważam, że nie powinniśmy stąd odchodzić. W każdej chwili mogą nas tu znaleźć.

- Ruszamy jutro o świcie - poinformował ją spokojnie.

- Ruszaj, jeśli chcesz. Ja zostaję - zaprotestowała.

- Nie ma mowy - powiedział twardo.

- Tak? A niby jak mnie zmusisz? - spytała z triumfem w głosie. - Nie wydaje mi się, żebyś był wystarczająco silny, by nieść mnie przez całą drogę, bo z własnej woli nie pójdę z tobą na pewno. No i co? Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, prawda? Nie pójdę, a skoro tak, to i ty nie pójdziesz. Takim sposobem zostaniemy tutaj.

- Mylisz się. - Zmierzył ją wzrokiem, a jego zielone oczy zwięziły się jak u kota.

- Nie sądzę. - Tym razem ona była absolutnie pewna siebie.

- W takim razie dobrze - skinął głową. - Zostajesz, skoro tak sobie życzysz. Ja natomiast opuszczam to miejsce z samego rana.

- Co takiego? - Patrzyła na niego wstrząśnięta, nic nie rozumiejąc.

- Rzeczywiście, to chyba najlepsze wyjście. Bez ciebie mogę iść znacznie szybciej. Ty zaś, ze swojej strony, przypilnujesz, czy coś jednak nie przyleci. Nawet jeśli nie, to w ciągu trzech dni powinienem

znaleźć pomoc i wysłać po ciebie ekipę ratunkową - zakończył z satysfakcją w głosie.

- Zamierzasz mnie zostawić? Samą? Tutaj? - wyszeptała z niedowierzaniem.

- To chyba logiczne rozwiązanie. W ten sposób możemy uzyskać pomoc na dwa sposoby. - Zamilkł, jak gdyby zastanawiając się nad tym pomysłem głębiej. - Muszę zabrać manierkę, ty możesz posługiwać się patelnią, żeby przynosić wodę. Zostawię ci zupy, ale wezmę wołowinę.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie.

Uniósł brew, niby w zdziwieniu, a w rzeczywistości arogancko.

- Przecież muszę coś jeść.

- Nie dbam o to - stwierdziła chmurnie. - Chyba nie mówisz poważnie. Nie zostawisz mnie tutaj.

- Czemu nie? - zdziwił się, przechylając głowę na jedną stronę. - Czyżbyś wybierała się ze mną?

- Nie.

- Czyli zostajesz - stwierdził i odwrócił się. Chwyliła go za ramię i zatrzymała w pół kroku. Utkwiła wzrok w dumnej twarzy o regularnych rysach.

- Ty byś mnie naprawdę opuścił, prawda? - zapytała półgłosem.

Na jego ustach pojawił się diaboliczny uśmiezek. - Tak.

- W takim razie muszę cię rozczarować. Jeśli myślisz, że będę tu potulnie siedzieć, podczas gdy ty sobie spokojnie pójdziesz, to się grubo mylisz. Idę z tobą.

- Przecież zamierzałaś czekać na samolot - przypomniał kąśliwie.

- Nic z tego. Idę - powtórzyła z naciskiem. -I nie uda ci się mnie powstrzymać, - Gdy tylko to powiedziała, zagryzła wargi. Dopiero co zaklinała się, że nie zmusi jej, by z nim poszła!

- Skoro tak - wycedził - to chyba rzeczywiście przespacerujemy się razem. - Zanim się odwrócił, dostrzegła w jego oczach podejrzany błysk.

- Oszukałeś mnie - syknęła z furją. - Wcale nie zamierzałeś mnie tu samej zostawić!

Patrzył na nią przez chwilę, ogromnie z siebie zadowolony.

- Naprawdę myślałaś, że nie wziąłbym swojej kobiety ze sobą?

Momentalnie puściła muskularne ramię, a jej dłoń zatoczyła łuk w powietrzu, by go spoliczkować. Reilly odchylił się zrećznie i Lea nie trafiła. Dopiero wtedy chwycił ją za przegub, otwarcie śmiejąc się z jej wybuchu gniewu. Usiłowała się wyrwać, ale miała do dyspozycji tylko jedną rękę, więc przytrzymał ją z łatwością. Szarpała się coraz mocniej, lecz bez rezultatu. Roześmiał się gardłowo.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego! - Uniosła głowę i spojrzała na niego lodowato.

Rozbawienie nagle zniknęło z jego wzroku, zielone oczy nieoczekiwanie przybrały taki wyraz, że przestała się szamotać. Poczowała przyspieszone bicie serca, gdy Reilly zaczął się wpatrywać w jej usta.

Wolną ręką zmysłowo odsunął włosy z uniesionej ku niemu twarzy, potem położył dłoń na karku Lei, która zadrzała mimowolnie.

Chwilę później pocałował ją, spokojnie i pewnie, bez śladu wahania czy niepewności, jak ona to przyjmie. Zrobił to tak, jakby rzeczywiście była jego kobietą, do której ma absolutne prawo. Nawet jej przez myśl nie przeszło, by się przeciwstawić, przeciwnie, przyłgnęła do jego szczupłego ciała jeszcze mocniej. Ogarniający ją płomień potężniał z każdą chwilą.

Jednak gdy pocałunek zaczął się stawać coraz bardziej namiętny, Reilly rozluźnił uścisk. Stojąca na palcach Lea z trudem utrzymała się na nogach. Z niechęcią oderwała usta od jego warg i stanęła na całych stopach, oddychając nierówno.

Niepewnie uniosła nieco powieki i zerknęła na niego przez rzęsy. Reilly patrzył łagodnie i przyjaźnie, jednak doskonale maskował jakiegokolwiek inne uczucia.

- Razem znaleźliśmy się w tej fatalnej sytuacji i razem się z niej wydostaniemy - odezwał się cicho. - Dlatego wyruszamy jutro rano. Oboje.

- Tak - skinęła głową.

Z lekkim uśmiechem zabrał rękę z jej karku, pieściliwie przesuwając palcem po aksamitnym policzku. Zastanowiła się, czy nie pocałował jej tylko po to, by przestała się spierać w kwestii opuszczenia tego miejsca.

Cofnął się o krok, sięgnął do kieszeni po papierosy, wyjął dwa, zapalił i podał jeden Lei.

- Może wypalimy fajkę pokoju?

- Czemu nie?

Odwzajemniła uśmiech i starała się zachowywać równie swobodnie jak on, lecz po tak intymnej chwili nie było to wcale takie łatwe. Jej dłoń drżała nieco, gdy wyciągała ją po papierosa, na ustach wciąż czuła ciepło jego warg.

Jednak to dobrze, że jutro się stąd wynosimy, pomyślała. Nie ulegało wątpliwości, że Reilly pociąga ją fizycznie. Jeszcze kilka dni spędzonych tylko we dwoje, parę równie obiecujących pocałunków, a pokusy, jakie stwarza wspólna noc, staną się nie do odparcia. W drodze zaś będą tak zmęczeni, że już na nic nie starczy im sił i ochoty.

- Kiedy skończymy palić - przerwał milczenie - będziesz mogła zająć się kolacją, tak jak zamierzałaś. Ja tymczasem przygotuję wszystko, co będzie nam potrzebne w czasie marszu.

Pozostały do wieczora czas spędzili bardzo pracowicie, spieszyli się bowiem, by wykorzystać resztki dziennego światła. Za ledwie zapadł zmierzch, Reilly zasugerował, że powinni się wcześniej położyć, z uwagi na czekającą ich jutro uciążliwą drogę.

Gdy otulili się płachtą, jak zwykle objął Leę ramionami. Krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach. Podejrzewała, iż tamten pocałunek był tylko wstępem i że dzisiejszej nocy Reilly będzie chciał się z nią kochać.

Podejrzewała? To nie było odpowiednie słowo. Raczej oczekiwała tego. Prawdę powiedziawszy, miała taką nadzieję... Gdy więc twarda pierś pod jej głową zaczęła na przemian podnosić się i opadać w głębokim śnie, poczuła się rozczarowana i urażona.

Co to za dziwny człowiek, pomyślała. Zdawała sobie sprawę, że jest atrakcyjną kobietą, a przecież w ciągu tych trzech dni pocałował

ją zaledwie raz. W dodatku nie dopuścił, by ten pocałunek stał się zbyt namiętny.

Każdy inny od razu próbowałby wykorzystać sytuację. Dwoje ludzi spędza cały czas tylko ze sobą, z dala od innych, śpią razem, przytulając się ciasno do siebie, gdyż noce są chłodne... Tyle możliwości, tyle pokus. Wprost trudno było sobie wyobrazić bardziej sprzyjające warunki. To naturalne, że żaden mężczyzna nie chciałby przepuścić takiej okazji.

Ale nie Reilly. Z całą pewnością nie postępował tak ze względu na brak doświadczenia. I nie dlatego, że mu się nie podobała. Gdy się spotkali po raz pierwszy, spojrział na nią z niekłamany podziwem. W dodatku dziś odpowiedziała na jego pocałunek w taki sposób, że wiedział, iż nie jest jej obojętny. Czemu więc nie skorzystał z tego milczącego przyzwolenia?

Westchnęła z irytacją i wygodniej ułożyła bolące ramię w poprzek jego płaskiego brzucha. Kobieta jest jednak przedziwną istotą. Zamiast się cieszyć, że nie musi ciągle się bronić przed zakusami obcego mężczyzny, żałuje, że on nie wykorzystuje okazji. Dostyc tego, pomyślała gniewnie i zamknęła oczy. Zasnęła.

Czyjaś dłoń odgarnęła jej włosy z twarzy.

- Czas wstawać - ponaglił męski głos. Przykrywająca ją płachta została odsunięta na bok i Lea poczuła przenikliwy chłód. Zadrzała i sennie przytuliła się do spoczywającego obok mężczyzny. Silna dłoń ujęła ją pod brodę.

- Hej, śpiochu. Powiedziałem, że już wstajemy - powtórzył z rozbawieniem Reilly.

Jęknęła z niechęcią i powoli uniosła powieki. Wokół panowała absolutna cisza, przerywana jedynie cichym trzaskaniem żarzących się polan. Na czarnym niebie błyszcząły tysiące niezwykle jasnych gwiazd. W życiu nie widziała czegoś podobnego.

- Jest jeszcze ciemno - zaprotestowała.

- Zaraz zrobi się jasno. No, wstawaj - zmusił ją, by usiadła.

- Naprawdę wstajemy o tej barbarzyńskiej godzinie? - spytała, z ogromnym trudem tłumiąc ziewanie.

- Prawie świta. Trzeba nastawić wodę, żebyśmy mogli przygotować coś do jedzenia. - Wstał i siłą wyciągnął ją z legowiska.

- O tej porze nie jestem głodna.

- Ale będziesz, gdy tylko zaczniemy schodzić. Musisz coś zjeść.

Prawdopodobnie miał rację, ale ona najchętniej by się jeszcze parę godzin przespała, zamiast brać się za robienie śniadania. Nie pozostawił jej jednak żadnego wyboru, nalała więc wody na patelnię i ustawiła ją nad żarem na kamieniach.

Gdzieś z oddali dobiegło przeciągłe wycie kojota. Zadrzała, przysunęła się bliżej do ognia i rozejrzała dookoła. Srebrny blask księżyca oblewał cały płaskowyż nieco upiornym światłem.

Woda zaczęła się gotować, Lea musiała więc opuścić bezpieczne, przytulne miejsce, by przynieść torebkę zupy w proszku, miseczki i dwie drewniane łyżki. Po drodze zaobserwowała, jak Reilly umiejętnie robi z płachty małe zawiniątko, które kładzie obok innych rzeczy, przeznaczonych do zabrania.

- Śniadanie gotowe - zawołała po chwili, nalewając sobie nieco zupy do miski, a większość zostawiając Reilly'emu.

Gdy jedli, niebo na wschodzie zaczęło się delikatnie różowić, potem pojawił się złocisty poblask. Zanim skończyli i Lea wyczyściła naczynia, zrobiło się już prawie zupełnie jasno.

- Wypij, ile możesz - podał jej manierkę. - Pójdę na górę i napełnię ją.

- Skąd weźmiemy wodę po drodze? - spytała po kilku łykach.

- Trzeba będzie szukać - cierpliwie czekał, aż skończy. - Udało nam się znaleźć ją tutaj. Myślę, że w dolinie będzie to łatwiejsze.

Skorzystała z jego nieobecności, by przebrać się w rzeczy, które dla niej wybrał poprzedniego dnia. Ledwo skończyła, gdy wrócił.

- Nie masz jakiegoś kapelusza lub czapki? - Zmarszczył brwi, gdy potrząsnęła głową. - Może chociaż apaszkę lub cokolwiek innego?

Tym razem przytaknęła i pospiesznie przerzuciła zawartość torby. Po chwili wyciągnęła jedwabną apaszkę w złoto-brązowe wzory.

- Skoro nie mamy nic innego, to musi wystarczyć, by ochronić twoją głowę przed słońcem. Spróbuj z tego zrobić coś w rodzaju turbana.

Wykonała jego polecenie, chociaż nie przyszło jej to łatwo, gdyż ból w lewym ramieniu odezwał się od razu ze zdwojoną siłą.

- Nie wiem, czy to coś da - zauważyła, kręcąc głową z powątpiewaniem.

- Gdybyś miała już kiedyś udar słoneczny, nie mówiłabyś tak.

- A ty nie potrzebujesz ochrony? - spytała akurat w momencie, gdy zaczął obwiązywać głowę płócienną niebieską chustą.

Zrobił to bardzo zręcznie i sprawnie, a Lea na chwilę zaniemówiła. Teraz nie mogło być nawet śladu wątpliwości co do jego indiańskiej krwi. Dumne i szlachetne rysy smagłej twarzy nigdy nie wydawały jej się równie wyraziste jak teraz.

- Nałóż dość grubą warstwę - polecił, podając jej słoik z kremem. - Musimy ochronić skórę przed promieniami słońca.

Z lekkim zdziwieniem patrzyła na białe smugi kremu na jego brązowej skórze.

- Myślałam, że Indianie nie potrzebują ochrony przed słońcem - zażartowała.

- Każdy potrzebuje - uśmiechnął się. - Na przykład pewne plemię z Wielkich Równin używało w tym celu oliwy, którą wytłaczano ze słoneczników. Smarowano nią całe ciało. - Spojrzał uważniej. - Masz już trochę zaróżowiony nos. Zostawiłbym na nim trochę kremu bez wklepywania. Dobrze, czy potrzebujesz jeszcze czegoś z twojej torby?

- Nie.

- Zostawię nasze bagaże przy zboczu.

Gdy się oddalił, ostrożnie dotknęła dłonią lewego ramienia. Bezustannie przeszywał je ostry ból, który promieniował aż do łokcia. Jednak ręka nie wydawała się spuchnięta. Może poprosić Reilly'ego, by ją obejrzał? Ach, prawda, mają mało środków opatrunkowych, w dodatku nalegał, żeby wyruszyli jak najwcześniej, póki jeszcze jest chłodno. W takim razie rana może poczekać. Na pewno się zasklepia, nic dziwnego, że przy tym boli, jest przecież dość głęboka.

- Gotowa do wymarszu?

- Jasne.

Zauważyła, że ze swoich dwóch koszul przygotował coś w rodzaju plecaków. Założył jej lżejszy z nich, zawierający płachtę i naczynia, sam zaś sięgnął po bardziej wypchany, w którym znajdowała się apteczka, pudełko z jedzeniem i latarka.

- Masz - wręczył jej jeden z drągów, które służyły w ciągu dnia jako podpórki do płachty.

- Po co mi to? Do obrony przed węzami?

- Przyda się przy marszu. Pomoże ci zwłaszcza na bardziej stromych odcinkach zbocza. - Starannie zdeptał resztki żaru i używając kija, wymieszał je z piaskiem. - Gotowa?

- Mhm. - Poprawiła plecak i ni z tego, ni z owego roześmiała się.

- Czuję się jak squaw, niosąca na grzbiecie małego indiańskiego brzdąca.

Zaśmiał się również, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- W takim razie w drogę, moja indiańska kobieto. Ruszył pierwszy, narzucając równe, nie za szybkie tempo.

Niedługo potem płaskowyż obniżył się, przechodząc w górskie zbocze. Niemal spod ich stóp wyskoczył zając i zniknął za skałą. Tkwiąca nieruchomo na kamieniu jaszczurka tylko wysunęła język na ich widok. Poranne słońce wisiało dopiero nad samą linią horyzontu niczym blado-żółta kula.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Strużki potu spływały jej po skórze, denerwująco łaskocząc. Początkowo lekki tobolek teraz wydawał się być coraz cięższy, w dodatku boleśnie obcierał ramiona.

Słońce stało niemal w zenicie, zsyłając na ziemię bezlitosny żar. Lea przystanąła na chwilę i oparła się na swoim kiju, próbując chwycić oddech. Mięśnie jej nóg drżały z wysiłku. Z rozpaczą popatrzyła na stok przed sobą. Przez całe przedpołudnie schodzili w dół, lecz wciąż nie dotarli na dno doliny.

- Do licha ciężkiego, daleko jeszcze? - zawołała z gniewem.

Reilly zatrzymał się również, kilka metrów przed nią i odwrócił się.

- W górach trudno ocenić odległość - wyjaśnił.

- Mnie to mówisz - mruknęła ironicznie. - Już zdążyłam się zorientować.

- Chcesz odpocząć tutaj, czy wolisz poczekać, aż zejdziemy na dół?

- A kiedy to będzie? Za rok? - spytała ze znużeniem. - Ile czasu minęło od ostatniego postoju? - zatrzymywali się bowiem co godzina na dziesięć minut.

- Trochę więcej niż kwadrans.

Chyba był to najdłuższy kwadrans w moim życiu, pomyślała z goryczą. Zaciśnęła zęby i podniosła kij.

- Idziemy - zdecydowała zrezygnowana.

Podjęli mozolną wędrówkę, posuwając się zygzakami w dół stromego stoku. Pomyślała, że wolałaby chyba usiąść na swoim tobołku i po prostu zjechać na dół po sypkim żwirze. Ramię dokuczało coraz mocniej. Gdy trzymała je luźno, ból rósł, wsunęła więc lewą dłoń za pasek od spodni, by trzymać rękę nieruchomo. Trochę pomogło, teraz jednak musiała wkładać więcej wysiłku w utrzymywanie równowagi, co chwilami stawało się dość trudne.

W dodatku buty obcierały ją niemiłosiernie i wiedziała, że lada moment zrobią jej się bąble na piętach. Zmuszała się do wykonania każdego następnego kroku. Od czasu do czasu sprawdzała, czy Reilly nie oddalił się za bardzo, ale głównie koncentrowała się na tym, co ma pod nogami. Przestała patrzeć, ile drogi jeszcze przed nimi. Przestała myśleć o bólu i pragnieniu, przestała liczyć czas. Nie miała pojęcia, czy szła godzinę, czy może cztery, kiedy wreszcie grunt pod stopami stał się równy.

- Odpocznijemy tu przez kilka godzin, by uniknąć wędrówki podczas największego upału - oznajmił Reilly.

Nawet nie miała siły, by się ucieszyć. Ciężko opadła na kolana i ostrożnie zdjęła plecak, by nie urazić lewego ramienia. Z najwyższą ulgą przyjęła podaną manierkę. Mogłaby ją wypić do samego dna, lecz pamiętała, że woda jest tu bezcennym skarbem. Pozwoliła sobie tylko na jeden malutki łyk.

Reilly rozwiązał jej tobołek, wyjął płachtę i umocował ją na drągach. Zauważyła, że wyglądał tak, jakby mógł przejść jeszcze dziesięć takich gór, nie męcząc się zbytnio.

- Czemu nie jesteś tak wykończony jak ja? - westchnęła z zazdrością.

Uśmiechnął się lekko.

- Pewnie dlatego, że nie spędzam pięciu dni w tygodniu za biurkiem. Chodź, schowaj się w cieniu.

Położyła się za parawanem i pomyślała, że marzy tylko o jednym. Nie ruszać się stąd nigdy więcej. Reilly pochylił się nad nią, w zielonych oczach widniało przyjazne rozbawienie.

- Masz, przegryź coś - podał jej kawałek suszonej wołowiny.

- Nie mam siły.

- Jedz! - rozkazał i bezceremonialnie wsunął mięso między jej rozchylone wargi.

Wiedziała, że musi posłuchać, gdyż on nie da jej spokoju, dopóki czegoś nie zje. Zmęczyło ją to jedzenie i gdy tylko skończyła, zasnęła natychmiast.

Ktoś potrząsnął ją mocno za ramię. Z trudem otworzyła oczy. Reilly siedział przy niej w kucki i podawał jej manierkę.

- Musimy się zbierać. Napij się, a ja spakuję rzeczy. Usiadła z ogromnym trudem. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, przeczekała to i wypila maleńki łyżeczek. Przycisnęła dłoń do rozpalonego czoła i starała się opanować ogarniającą ją słabość. Czuję się potwornie, pomyślała.

Ramię bolało straszliwie, jednak to pewnie nie ono powodowało ów stan. Winny był upał i zmęczenie po wyczerpującej wędrówce. Podniosła się niezwykle ostrożnie. Woląca nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, żeby zawrót głowy nie powtórzył się.

Tymczasem Reilly spakował płachtę do zawiniątka, które z powrotem umieścił na jej plecach. Niechcący przy tym dotknął okolic rany. Lea odsunęła się gwałtownie.

- Boli? - spytał z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Wszystko mnie boli - skrzywiła się.

Podał jej kij.

- Możemy iść?

Skinęła głową i podjęli wędrówkę. Mimo że szli dość wolno, miała ogromny problem z dotrzymaniem mu kroku. Każda część jej ciała protestowała przeciw dalszemu wysiłkowi. Dwukrotnie musiał na nią poczekać.

Miała wrażenie, że bezlitosne promienie przepalają ubranie na wylot i parzą skórę. Strumyczki potu spływały po niej obficie, za to w spieczonych ustach czuła straszną suchość.

Dziesięciominutowy odpoczynek pod koniec pierwszej godziny marszu minął w mgnieniu oka, nie zdążyła ani trochę odpocząć. Łyk wody z manierki w niczym nie pomógł, obolałe gardło wciąż było suche jak pieprz. Wewnętrzny głos przekonywał ją, że nie da rady pójść dalej, lecz z nadludzką wręcz determinacją zmusiła się do wstania.

Nagle przypomniało jej się, jak Lonnie zawsze się z nią przekomarzał. „Mówiłem ci, że dziewczyny nigdy nie nadążają za chłopakami. No i co?” Te słowa zabrzmiały w jej uszach tak wyraźnie, że przez chwilę miała wrażenie, iż brat stoi tuż przed nią. Musiała przesunąć dłonią po piekących oczach, by pozbyć się

złudzenia. Zauważyła zaniepokojony wzrok Reilly'ego i zdobyła się na uśmiech.

- Wszystko w porządku - zapewniła pośpiesznie, choć schrypnięty głos z trudem wydobywał się z gardła. Właściwie bardziej próbowała przekonać siebie niż jego.

- Obracaj go w ustach - podał jej niewielki kamyk. - Dzięki temu ślina wciąż będzie napływać do ust i pragnienie trochę się zmniejszy.

Rzeczywiście, nieco pomogło. Lea starała się nie zostawać zbyt daleko w tyle, lecz wymagało to od niej coraz większego wysiłku. Nogi jej się plątały, musiała uważać, by nie upaść. Szła niczym pijana. Gorąco panowało już nie tylko wokół, miała wrażenie, że przeniosło się do wnętrza jej ciała. Fale słabości ogarniały ją coraz częściej, wbiła więc wzrok w plecy Reilly'ego i próbowała iść wciąż w tej samej odległości od nich. Chwilami jednak wszystko wirowało jej w oczach i przestawała widzieć cokolwiek. Zrozumiała, że za chwilę straci przytomność i dopiero wtedy się przestraszyła.

- Reilly! - zabrzmiało to jak chrapliwy szept. Potknęła się zniecierpliwiona i z całej mocy oparła na kijach, by nie upaść. Resztki sił opuszczały ją błyskawicznie, zdobyła się więc na ostatni, ogromny wysiłek. - Reilly!

Wiedziała, że nie zrobi już ani kroku więcej. Kolana się pod nią uginały i tylko dzięki solidnemu drągowi trzymała się jeszcze w miarę prosto. Ostatkiem sił starała się walczyć z ogarniającym ją omdleniem i naraz przyszła jej do głowy przerażająca myśl. Nie usłyszała. Została zbyt daleko z tyłu.

Kij zachwiał się i Lea bezwładnie osunęła się na ziemię. W ostatniej chwili coś ją chwyciło, podtrzymało i położyło ostrożnie, by się nie uderzyła.

- Reilly - wyszeptała, rozpoznając dotyk ramion, w których spała od trzech nocy. - Przykro mi. Już nie mogę.

- Nic nie mów - przykazał i oparł ją o siebie. Przytknął manierkę do jej ust i przechylił, lecz nawet nie była w stanie przełknąć.

Większość wody pociekła po brodzie i wsiąkła w ubranie. Reilly zaczął odgarniać wilgotne pasma włosów z jej twarzy, gdy nagle przerwał i położył dłoń na rozpalonym policzku.

- Wielkie nieba, ty masz gorączkę! - Szybko odwiązał jej plecak i rozpiął bluzę. Gdy chciał ją zdjąć, ból w ramieniu stał się tak nieznośny, że Lea nie wytrzymała i krzyknęła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Szalona kobieto! - usłyszała wstrząśnięty i gniewny głos. - Czemu nie powiedziałaś, że tak cię boli?

- Ponieważ się goi - odparła z trudem.

- Akurat!. To stan zapalny!

Jęknęła i przestała się bronić przed ogarniającą ją ciemnością. Zemdlała.

Potem wydawało jej się, że płynie nad ziemią. Na chwilę odzyskała przytomność na tyle, by zrozumieć, że Reilly niesie ją w ramionach, a potem ponownie zapadła w mrok.

Jeszcze później miała cudowny sen. Spoczywała na gęstej, miękkiej trawie porastającej brzegi małego jeziora o krystalicznie czystej wodzie. Nad jej głową zwisały gałęzie wierzb, osłaniając ją

przed promieniami zachodzącego słońca. Panował cudowny chłód, a w powietrzu unosiła się woń dymu z ogniska.

Potem została podniesiona i zdjęto jej bluzę. Zaprotestowała z jękiem. Nie chciała się obudzić.

- Postaraj się nie ruszać - poprosił łagodnie Reilly.

Uniosła powoli powieki. Ujrzała brązową twarz i kruczoczarne włosy, a w tle łagodnie kołysały się wiotkie gałązki pokryte zielonymi liśćmi.

- Śni mi się najpiękniejszy sen w moim życiu - wymruczała. - Są drzewa, woda, trawa...

- To nie sen - wyjaśnił, zdejmując bandaż i przemywając zainfekowaną ranę. - Wygląda na to, że jakiś pasterz zbudował niewielką tamę na strumieniu, by stworzyć wodopój dla swoich owiec.

Czyli to rzeczywistość okazała się tak cudowna! Odetchnęła z ogromną ulgą i ponownie zapadła w nicość.

Jeziorko i roślinność zniknęły, a ona znów wędrowała po zeschniętej, popękanej ziemi, potykając się na każdym kroku. Z nieba lał się żar, słońce świeciło wprost w oczy, oślepiając ją prawie zupełnie.

Chwilami zdawało jej się, że czuje na wargach chłód wody. Czasami to Lonnie przytykał manierkę do jej ust i przekomarzał się z nią, zupełnie jak w dzieciństwie, gdy jej krótkie nóżki nie mogły za nim nadążyć. Kiedy indziej był to Reilly, który kazał jej odpoczywać i nie ruszać się. Najwyraźniej nie rozumiał, że ona musi iść przez

rozprażoną pustynię, szła więc dalej sama, czując się jak we wnętrzu pieca.

Nadejście nocy nie przyniosło żadnej ulgi. Wiszący na niebie księżyc zsyłał na ziemię srebrne światło, które zamiast chłodzić, paliło żywym ogniem. Pot płynął z niej strumieniami.

Ale słońce było jeszcze gorsze. Aż krzyknęła z rozpacz, gdy znów pojawiło się na bezlitośnie bezchmurnym niebie. Musiała jakoś przed nim uciec, schować się. Nagle zdała sobie sprawę, że jest pozbawiana nawet tej mizernej ochrony, jaką stanowiło ubranie. Ktoś ją delikatnie rozbierał! Nie mogła na to pozwolić, zaczęła się szarpać i wyrywać.

- Lea, słyszysz mnie? - Znajomy głos przedarł się w końcu przez koszmarnie wizje.

- Tak - bezradnie rozplakała się z ulgi, że jednak nie została zupełnie sama. Przez łzy ujrzała pochylającego się nad nią półnagiego Reilly'ego. Zielona oaza okazała się jednak jawą, nie snem.

- Muszę ci zdjąć ubranie - powiedział wolno i dobitnie, by znaczenie jego słów dotarło do niej mimo maligny.

Słabo pokręciła głową. Nie mogła się zgodzić, by ujrzał ją naga. Nie pozwalało na to niezwykle moralne wychowanie, jakie odebrała w dzieciństwie. Chybaby umarła ze wstydu.

- Nie możesz tego zrobić - szepnęła drżącymi wargami.

- Posłuchaj. Nie ma w tym nic zdrożnego. Dla Indianina nagie ciało nie jest obiektem seksualnym ani niczym złym. Jest częścią natury, to wszystko. - Poczekał, aż do Lei dotrze to, co powiedział. -

Trzeba obniżyć ci temperaturę. Nie mamy odpowiednich leków, dlatego zanurzę cię w wodzie. Jest dostatecznie chłodna, by pomóc.

Zrozumiała, że ma rację i że obniżenie gorączki jest konieczne, jednak wstyd okazał się silniejszy niż rozsądek.

- Zostaw... - Była tak słaba, że mówienie przychodziło jej z wielkim trudem. - Wykąp, ale nie rozbieraj mnie...

- Nie mogę. Musisz mieć potem coś suchego do włożenia, nie będziesz leżeć w mokrych rzeczach - odpowiedział. - Nie spieraj się ze mną, to nie ma sensu. Oszczędzaj siły.

Poczucie skromności wciąż zmuszało do protestu, jednak rzeczywiście nie była w stanie walczyć z Reillym. Rozebrał ją, uniósł lekko, jakby nic nie ważyła i zaniósł do wody. Oparła głowę na jego nagim ramieniu i poddała się orzeźwiającej kąpieli. Zwieszające się nad nimi gałęzie wierzby osłaniały ich przed słońcem, a cudownie chłodna woda koła rozpaloną skórę.

Lea na przemian zapadała w maignę i odzyskiwała przytomność. W pewnej chwili zdawało jej się, że Reilly też jest kompletnie nagi, lecz nagle przestała się przejmować wymogami przyzwoitości. Najważniejsze, że nareszcie nie było jej tak straszliwie gorąco.

Poruszyła się nerwowo. Coś ją trzymało i nie chciało wypuścić. Pragnęła się oswobodzić i ponownie zanurzyć w chłodnej kąpieli. Jakaś dłoń uspokajająco pogłaskała ją po twarzy i szyi. Zrozumiała, iż leży na ziemi w ramionach Reilly'ego i że są szczelnie owinięci płachtą.

- Śpij - mruknął cicho. - Gorączka spada. Potrzebujesz dużo snu.

Odprężyła się i przytuliła do niego. Muskularne ciało promieniowało przyjemnym ciepłem. Nie czuła już żadnego żaru, przed którym trzeba było uciekać. Zasnęła i tym razem nie dręczyły jej żadne koszmary.

Obudził ją tylko raz, w środku dnia, aby nakarmić ją odrobiną rosołu. Zjadła i niemal natychmiast ponownie zapadła w sen. Potem wydawało jej się, że Reilly kładzie się obok, lecz niczego nie była pewna.

Gdy znów się ocknęła, słońce stało już wysoko na niebie. Na środku maleńkiej polanki wesoło trzaskał ogień, a przy ognisku siedział w kucki Reilly, mieszając coś na patelni. Miał na sobie jedynie opięte dzinsy. W promieniach słońca brązowa skóra torsu i ramion nabrała złocistego odcienia. Był jeszcze bardziej atrakcyjny, niż pamiętała. Chyba wyczuł jej wzrok, gdyż spojrzał na nią.

- Witaj - uśmiechnął się ciepło, a zmarszczki wokół zielonych oczu pogłębiły się.

- Hej - odparła, zastanawiając się, czemu nagle czuje się jakoś dziwnie niezręcznie.

- Jesteś głodna? - Przełał zawartość patelni do misek.

- Trochę - przyznała i spróbowała usiąść. Okazało się jednak, że jest słabsza, niż przypuszczała.

- Leż. Nakarmię cię.

- Przecież to robota dla squaw, prawda? - uśmiechnęła się przekornie.

- Tak, ale czasami Indianin musi przejąć jej obowiązki, gdy jego kobieta leży w malignie.

Miała dziwne wrażenie, że serce podskoczyło jej aż do gardła. Jego kobieta. Z pewnością tak mu się tylko powiedziało, nie mówił tego poważnie. Tym niemniej na samą myśl zrobiło jej się gorąco.

Usiadł obok, zwinął swoją koszulę, wsunął Lei pod głowę, sięgnął po miskę i zaczął ją karmić.

- Jak długo byłam nieprzytomna? - spytała między kolejnymi łykami.

- Trzy dni.

- Żartujesz!

- Czy możesz jeść bez gadania? - zaproponował z uśmiechem. - Szybciej byś się najadła.

Udało jej się opróżnić połowę miski, na więcej nie miała siły. Nie nalegał, odstawił naczynie na bok.

- Co z twoim ramieniem?

Ostrożnie poruszyła ręką. Bolało, jednak znacznie mniej. Odetchnęła z ulgą.

- Zdecydowanie lepiej.

- Wolałbym je obejrzeć. Nie zamierzam ponownie zdawać się na twoją opinię.

Bez słowa protestu zaczęła rozpinąć bluzę, lecz nagle zorientowała się, że nie ma na sobie bielizny. Zerknęła ukradkiem na Reilly'ego, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

- Nie pamiętasz, że gdy leżałaś w gorączce, rozebrałem cię do kąpieli? - spojrzał na nią pytająco.

Nerwowo bawiła się guzikami, ani ich nie zapinając, ani nie rozpinając dalej.

- Pamiętam - odwróciła wzrok z zażenowaniem.

- Ramiona miałaś otarte od plecaka, dlatego nie wkładałem ci bielizny - wyjaśnił.

- Ach, tak - mruknęła, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Łagodnie ujął ją dłonią pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego. Zielone oczy patrzyły na nią przyjaźnie, choć zarazem troszkę kpiąco.

- Wszystko już widziałem. Chyba nie ma sensu wstydzić się po fakcie, nie sądzisz?

Bez słowa rozpięła bluzę do końca, choć myślała, że spali się ze wstydu. Gdy Reilly ostrożnie ściągał rękaw z lewego ramienia, przysłoniła pierś prawą dłonią. Nawet, jeśli go to rozbawiło, niczego po sobie nie pokazał. Obejrzał ranę i sprawnie zmienił opatrunek, przez cały czas zachowując kompletnie obojętny wyraz twarzy.

- Sądzę, że tym razem się zagoi. - Odwrócił się, by Lea mogła się z powrotem ubrać. - Powinienem sprać cię na kwaśne jabłko za to, że mi nie powiedziałaś, jak bardzo cię boli.

- Myślałam, że to normalne - próbowała się bronić.

- Pozwolisz, że od tej pory ja będę decydował w takich sprawach. - Sięgnął po częściowo opróżnioną miskę i podniósł się zwinnie, po raz kolejny prezentując swoją jakby kocia grację. - Teraz odpocznij.

- Przecież spałam przez kilka dni. Chyba powinnam wstać, zanim zupełnie odzwyczaję się od chodzenia.

Spróbowała usiąść, lecz poczuła zawrót głowy.

- Może później, na razie jeszcze na to za wcześnie - stwierdził zdecydowanie.

Ponieważ była zbyt słaba, by podnieść się o własnych siłach, musiała go posłuchać. Chyba rzeczywiście miał rację, gdyż po chwili ponownie spała kamiennym snem.

Zapadał już zmierzch, gdy się obudziła. Purpurowo-fioletowe niebo odbijało się w nieruchomej tafli wody. Na prymitywnym rożnie skwierczały kawałki mięsa. Reilly odwrócił się, gdy tylko poczuł jej wzrok, ponownie udowadniając, że ma szósty zmysł.

- Kolacja jest już prawie gotowa. Czy chcesz usiąść przy ognisku?

Przytaknęła zdecydowanie. Gdy pomógł jej wstać, miała wrażenie, że przypomina niezdarnego żrebaka, który po raz pierwszy zaczyna chodzić i któremu płaczą się nogi. Gdyby nie przytrzymujące ją ramię, nie udałoby jej się przejść nawet tych kilku kroków do ogniska. Usiadła z ulgą, dopiero teraz w pełni zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo jest osłabiona.

- Co to jest? - zainteresowała się, gdy podał jej miskę napełnioną jakąś zieloną papką.

- Pewien rodzaj sitowia, znalazłem go po drugiej stronie jeziora. Trochę to włókniste, ale zapewniam, że jadalne. Co więcej, całkiem pożywne.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że jedzenie, jakkolwiek niezbyt zachęcająco wyglądające i rzeczywiście włókniste, było całkiem smaczne. Jednak delikatne białe mięso, idealnie upieczone na rożnie, okazało się o niebo lepsze. Zjadła z apetytem swoją porcję do ostatniej okruszyny i jeszcze oblizwała palce.

- Fantastyczne - westchnęła z zadowoleniem.

- Smakowało? - spytał i obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem.
- Pewnie! Jak ci się udało złapać przepiórkę? Zastawiłeś sidła? -
Pomyślała, że strzał obudziłby ją z pewnością. Skoro tak się nie stało,
Reilly nie używał broni.

- Przepiórkę? - zdziwił się, a w jego oczach pojawił się dziwny
błysk.

- Jak to? W takim razie co zjedliśmy na kolację?

- Nie chcę ci psuć apetytu, ale to był grzechotnik. Zrobiło jej się
niedobrze. Zamknęła oczy i postarała się opanować. Po chwili trochę
jej przeszło.

- I co? Nadal uważasz, że posiłek był taki smaczny?

- obserwował ją, nie kryjąc rozbawienia.

- Kiedy myślałam, że to przepiórka, wydawał mi się
smaczniejszy - przyznała.

Uśmiechnął się, przypalił od ogniska dwa papierosy i podał jej
jednego. Przyjęła z wdzięcznością i postanowiła zmienić temat, by
przestać myśleć o tym, że właśnie zjadła węża.

- Czy wiesz, że przez ten cały czas nie powiedziałeś mi prawie
nic o sobie? Ty wiesz już wszystko o moich rodzicach, o bracie, o
ciągłych przeprowadzkach. Zaś ja o tobie dowiedziałam się tylko tyle,
że projektujesz biżuterię.

Nie była to do końca prawda. Poznała też bowiem to, co
najważniejsze. Charakter Reilly'ego. Jego spokój, opanowanie oraz to,
że można było na niego liczyć. Teraz chodziło jej o fakty z jego życia.

- A co cię interesuje? - spytał niechętnie, lecz nie odmówił
rozmowy na swój temat.

- No, nie wiem. - W rzeczywistości chciałaby wiedzieć absolutnie wszystko, ale przecież nie mogła się do tego przyznać. - Na przykład, czemu półkrwi Indianin nazywa się Reilly Smith?

- Oczekiwałaś raczej, że powinienem się nazywać John Czarne Pióro?

- Coś w tym rodzaju - roześmiała się, słysząc ciętą ripostę.

- To matka była Indianką, zaś rodzina ojca pochodziła z Irlandii.

- Zauważył zdziwiony wzrok Lei. - Tak, to nie jest irlandzkie nazwisko. Widzisz, w przeszłości dość często zmieniano personalia, gdy chciano zatrzeć niechlubną przeszłość. Tak właśnie postąpił dziadek, który rzekomo zabił jakiegoś faceta, podobno w obronie własnej. Nikt nie wie, jak było naprawdę. Dość, że zmienił nazwisko na Smith, a potem poślubił swoją rodaczkę, Maureen O'Reilly, moją późniejszą babkę. Imię dostałem na jej cześć.

- Czy twoi rodzice żyją?

- Nie. Ojciec zginął w wypadku samochodowym niedługo po moich narodzinach. Matka nie mogła się pozbierać po jego utracie. Oddała mnie na wychowanie swoim rodzicom... Zmarła, gdy miałem osiem lat. Dlatego mieszkałem w rezerwacie. - Przez chwilę wpatrywał się w rozżarzony koniuszek papierosa, po czym uśmiechnął się z roztargnieniem. - Chcesz spytać jeszcze o coś?

Znając jego skryty charakter i niechęć do zwierzeń, Lea dziwiła się, że powiedział jej aż tak dużo o swojej przeszłości. Skoro jednak był gotów zdradzić więcej, nie należało marnować okazji.

- Jak to jest, kiedy się dorasta w rezerwacie?

- Zwyczajnie. Chodziłem do szkoły z innymi indiańskimi dziećmi, pilnowałem owiec moich dziadków, pomagałem przy różnych zajęciach. Mieszkali na pustkowiu, prawie na pustyni. Dziadek w wolnych chwilach wyrabiał biżuterię, aby trochę podreperować rodzinny budżet, byli bowiem dość biedni. Służyłem mu za pomocnika i robiłem za kopcieszka.

- Nie rozumiem:

- Dziadek wydobywał rudę ze starej, nieczynnej kopalni.

Głównie zajmowałem się sortowaniem jej. Potem wydobywałem surowe turkusy z kawałków skał za pomocą młotka lub obcęgow - wyjaśnił.

- Stąd twoje zainteresowanie biżuterią?

- Mhm. - Wrzucił niedopałek do ognia, podniósł głowę i zapatrzył się w niebo, na którym nieśmiało zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. - Wychowywano mnie jak Indianina, przejąłem wiele dawnych zwyczajów i tradycji, jednak zawsze wiedziałem, że nie należę do nich. Byłem w zasadzie biały. - Zamilkł, a Lea nie przerywała ciszy. Czekwała na dalszy ciąg. - Nie wiem, co spowodowało, że opuściłem rezerwat. Indiańskie umiłowanie wolności czy też ambicja białego człowieka?

- Nie możesz myśleć o sobie, jak o składającym się z dwóch części - zaprotestowała. - Skupiasz w sobie dziedzictwo obu kultur, jesteś całością.

W myślach dodała, że to połączenie dało niezwykły efekt. Miała przed sobą dumnego, odpowiedzialnego i inteligentnego mężczyznę,

który znał swoją wartość, co dawało mu absolutny spokój wewnętrzny.

- Chyba zaczynamy za bardzo filozofować - stwierdził zdecydowanie. - Najwyższy czas iść spać. Przysunę nasze legowisko trochę bliżej do ogniska.

- Właśnie. Powiedz, dlaczego zawsze ten ogień jest taki mały? Czy nie grzałby lepiej, gdyby był większy?

Rozpostarł płachtę tuż obok sterty drewna, by w każdej chwili łatwo było po nie sięgnąć.

- Biały człowiek buduje wielkie ognisko, a potem musi spać z dala od niego, gdyż jest mu zbyt gorąco. Indianin buduje niewielkie i potem może leżeć tuż obok i grzać się. - Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, a tańczące płomienie odbijały się w jego nieprzeniknionych oczach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powierzchnia wody była idealnie gładka, bez najmniejszej zmarszczki, a w nie zmaconej toni odbijały się wierzby. Dalej, na drugim końcu jeziora, sitowie kołysało się lekko pod wpływem słabych podmuchów wiatru, a woda przelewała się przez brzeg tamy i formowała niewielki strumień, bulgocząc wesoło.

Lea siedziała oparta o pień drzewa i obserwowała wędkę skonstruowaną przez Reilly'ego z kija, splecionych nici, które wyciągnął z jednej z koszul, i ze znalezionej w apteczce agrafki.

- Naprawdę myślisz, że są tu jakieś ryby?

- Nie — zerknął na nią spod oka i uśmiechnął się nieznacznie. -

Ale to świetny pretekst, by sobie usiąść i spokojnie pomyśleć.

- O czym?

- O różnych rzeczach.

- Jakich? - nie dawała za wygraną.

- To dobre miejsce - odezwał się po namyśle. - Mamy tu wodę i drewno na opał.

- W dodatku tak tu pięknie - dodała z niekłamany zachwytem.

- Jakie to szczęście, że tu trafiliśmy.

- Gdy wokół rozciąga się pustynia, to taką oazę zieleni nietrudno zauważyć - wyjaśnił. - Zobaczyłem ją, gdy zbliżaliśmy się do doliny.

Spojrzała na otaczające ich z trzech stron góry, ale nie potrafiła odnaleźć przełęczy, z której zeszli.

- Gdzie byliśmy?

- Tam - wskazał jedną z gór. - Widzisz ten uskoki niedaleko szczytu? Tam właśnie rozbił się nasz samolot.

Westchnęła i z powrotem oparła się o pień drzewa.

- Do tej pory pewnie już nas uznano za zmarłych. Teoretycznie wydawało się, że osiem dni to przecież niedługo. Jednak w tej sytuacji to była cała wieczność.

- Musi upłynąć jeszcze kilka dni, trzy lub cztery, zanim znów będziesz mogła iść - stwierdził ponuro.

- Przynajmniej nie musimy się martwić o wodę, to już coś - zauważyła pocieszająco. - No i miejmy nadzieję, że znajdziemy cokolwiek do jedzenia.

Tego ranka Reilly oznajmił, że ostatnie trzy paczki suszonej żywności pozostaną jako żelazny zapas na czarną godzinę. Skonstruował więc prymitywne sidła i ustawił je na ścieżkach wiodących do wodopoju. Gdyby to zawiodło, postanowił polować za pomocą pistoletu. Jeśli i to by się nie udało, to zawsze w okolicy znajdowało się wystarczająco dużo węży, by nie umarli z głodu.

- Zapasy, które mamy obecnie, starczą na trzy dni dla dwóch osób. Dla jednej starczyłyby na sześć - powiedział cicho, zarzucając wędkę.

Zamarła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że ty zostaniesz, a ja pójdę po pomoc.

- Już raz dyskutowaliśmy na ten temat - przypomniała mu ostro.

- Ale sytuacja się zmieniła. Nie możesz iść dalej. Ja zaś zauważyłem coś jakby starą drogę, dziesięć, może piętnaście

kilometrów stąd. Musi prowadzić do jakichś zabudowań lub do innej drogi. Ale nie wiem, ile trzeba przejść.

- Nie zostanę sama. Mówię poważnie - oświadczyła z determinacją.

- Im dłużej tu pozostajemy, tym gorzej. Trzeba wyruszyć po pomoc.

- Powiedziałeś przedtem, że razem się w to wpakowaliśmy i razem się z tego wydostaniemy - przypomniała mu. - Nie zostawisz mnie tutaj.

- Jesteś zbyt słaba, by iść.

- Wcale nie! - zaprotestowała gwałtownie, choć wiedziała, że Reilly ma rację. - Z łatwością dojdę tam, gdzie ty. Nic mi nie jest, o gorączce zdażyłam już dawno zapomnieć. Jestem zdrowa jak ryba!

Aby mu to udowodnić, podniosła się szybko i ruszyła w jego stronę, lecz nagle zakreśliła jej się w głowie. Zachwiała się.

Zerwał się w mgnieniu oka, przytrzymał ją i ostrożnie posadził z powrotem, opierając o pień wierzby.

- Czy teraz wreszcie przyznasz, że jesteś wciąż zbyt słaba? - Nieco drwiąco patrzył na jej pobladłą twarz.

- Po prostu za szybko wstałam, to wszystko - wyjaśniła z godnością i spojrzała wprost w oczy klęczącego obok mężczyzny. - Przysięgam, że nie uda ci się odejść beze mnie. Jeśli pójdziesz, wyruszę za tobą. - Jej głos był spokojny i opanowany.

W zielonych oczach pojawiło się coś w rodzaju niechętnego uznania.

- Nie mam co do tego wątpliwości - mruknął i chciał się podnieść.

Jednak Lea potrzebowała potwierdzenia, iż zmienił zdanie i że jej nie zostawi. Kurczowo chwyciła go prawą dłonią za koszulę i pochyliła się ku niemu.

- Reilly? - Uważnie badała wzrokiem nieprzeniknione rysy, starając się odgadnąć, co on naprawdę myśli i planuje.

W jego oczach nagle zapalił się gniewny błysk. Lea poczuła, jak silne ramię obejmuje ją wpeł. Serce zabiło jej mocniej, na poły z oczekiwania, na poły ze strachu.

Naraz zaczął ją całować, gwałtownie, wręcz brutalnie, wyraźnie chcąc ją ukarać. Jednak ból trwał tylko przez chwilę, gdyż Reilly nie był przecież z kamienia i wpadł we własne sidła. Pożądanie sprawiło, że pieścił ją teraz i całował bardzo zmysłowo, czekając na jej reakcję. Nie musiał długo czekać. Poddała się miękko, bez protestu.

Powoli położył ją na trawie, ani na chwilę nie odrywając gorących warg od jej ust. Przebiegł ją mimowolny dreszcz. Nawet nie podejrzewała, że Reilly będzie w stanie obudzić w niej aż taką namiętność. Miała wrażenie, że cała płonie.

Zmysłowo i zarazem niecierpliwie pieścił dłońmi gładką skórę, którą następnie obsypywał deszczem pocałunków. Smakował w ten sposób jej szyję, ramiona, dekolt... Na chwilę zabrakło jej tchu, gdy posunął się dalej. To doświadczenie było dla niej zupełnie nowe. Uświadomiła sobie, że już kompletnie straciła głowę i że w jego rękach jest całkiem bezsilna...

Nagle obrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Leżała teraz na nim, on zaś ujął jej twarz w dłonie i odsunął nieco od swojej.

Czuła, iż nabrzmiałe usta jeszcze drżą od namiętych pocałunków, a jej oczy pociemniały od pożądania. Zamknęła je, by ukryć swoje uczucia, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że i tak już się zdradziła.

- Dlaczego? Chciałam, żebyś to zrobił - wyszeptała z trudem.

- Lea. - Jego głos również zdradzał ogromne poruszenie. -

Jeszcze nigdy nie byłeś z mężczyzną, prawda?

Zamarła na chwilę. Wysunęła się z jego objęć i wstała niezgrabnie. Policzki jej płonęły. Czuła na sobie badawcze spojrzenie, lecz nie miała odwagi spojrzeć mu prosto w oczy. Udając nonszalancję, wsunęła ręce do kieszeni, odwróciła się tyłem i zapatrzyła gdzieś w dal.

- Mam rację, prawda? - powtórzył.

Ruszał się tak bezszelestnie, że nawet nie zauważyła, gdy podniósł się i stanął tuż za nią. Położył lekko dłonie na jej biodrach. Musiała się bardzo pilnować, by nie ulec pokusie, nie odwrócić się i nie schronić ponownie w jego ramionach.

- Nie widzę powodu, dla którego miałabym odpowiadać na to pytanie.

- Po prostu chcę wiedzieć.

- Mogłeś sam zaspokoić swoją ciekawość. Gdybym nawet krzyczała, to i tak nie ma tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć. Czemu więc tego nie zrobiłeś? - spytała, a w jej głosie pobrzmiwała nutka hysterii.

- Do diabła, Lea! - zdenerwował się, obrócił ją i spojrzał jej prosto w twarz.

Wyraz orzechowych oczu musiał zdradzić to, czego nie chciała wypowiedzieć. Czaiła się w nich niepewność i obawa. Rozluźnił nieco uścisk i uśmiechnął uspokajająco.

- Nie masz się czego bać.

- Czego mam się nie bać? A może kogo? Ciebie czy raczej samej siebie?

Zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy.

- Niby czemu? - spytała prowokacyjnie. - Przecież nie mogę zaprzeczyć, że przed chwilą chciałam, żebyś się ze mną kochał!

- Dość tego! - warknął wściekle i wypuścił ją z objęć. Szybko jednak udało mu się opanować gniewny wyraz twarzy i ponownie jego rysy przypominały niewzruszoną maskę.

Lea czuła się jak schwytana w pułapkę, z której nie widziała żadnego wyjścia. Pragnął jej, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Kiedy jednak odgadł, że jest dziewicą, odtrącił ją. Czyżby była zbyt mało doświadczona jak na jego gust? Wolał wyrafinowane kobiety z bogatą przeszłością erotyczną? Do oczu napływały jej łzy.

- Nie rozumiem cię, Reilly! - wybuchnęła gniewnie. Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

- To proste. Gdy znajduję się na pustyni, zaczynam się znów zachowywać jak Indianin - wyjaśnił niechętnie.

Ta odpowiedź wydała jej się równie zagadkowa, jak jego zachowanie. Nie wiedziała, co robić. Starła się powstrzymać łzy, nie udało jej się jednak opanować drżenia brody.

Westchnął ciężko. Podszedł i lekko dotknął jej ramion. Odsunęła się. Tym razem ujął ją mocniej i nie wypuścił.

- Tylko nie próbuj mnie przekonywać o swojej świętości - odezwała się zjadliwie i przez łzy posłała mu oskarżycielskie spojrzenie.

- Zgadza się, nie jestem wyjątkowo cnotliwy - potwierdził niewzruszonym tonem. - Aczkolwiek nie należę też do tych, którzy chełpią się liczbą zaliczonych kobiet.

- Co za ulga! - zadrwiła gorzko.

- Według Indian, jeśli mężczyzna weźmie pannę przed ślubem, to uważa się ją za nieczystą i wszyscy jej unikają. To raczej osobliwy zwyczaj w naszych bardzo swobodnych czasach, prawda? Tym niemniej - dodał dobitnie - w tym duchu zostałem wychowany. Jestem na wskroś przesiąknięty tradycją i zwyczajami moich przodków, musiałbym chyba się zaprzecć samego siebie, by postępować według innych praw. Zbyt wiele przeszliśmy razem przez te dni, żebym to ja miał być tym człowiekiem, który pozbawi cię dziewictwa. Nie wolno mi tego zrobić.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- To dlatego mnie o to pytałeś?

- Tak.

Objęła go w pół i z westchnieniem ulgi oparła głowę na mocnej piersi. Reilly przytulił ją do siebie, delikatnie gładząc szczupłe

ramiona i pieśczożliwie przeczesując palcami długie włosy. Wreszcie odchylił jej głowę do tyłu i pocałował, niespiesznie i zmysłowo. Znow poczuła, że w jego rękach mięknie jak wosk.

Zdobył się w końcu na męską decyzję i z ociąganiem wypuścił Leę z objęć.

- Hm, sądzę, że powinnaś przypilnować wędki, ja tymczasem zapołuję na jakiś obiad.

- Pozwól mi iść z tobą.

Położył jej dłoń na ustach i potrząsnął głową.

- Chcę, żebyś jak najwięcej odpoczywała. Przecież musisz mieć siłę, aby ugotować wieczorem posiłek, prawda?

- Posadził ją na ziemi i odszedł.

Nie protestowała. Wiedziała, że jest bardzo bliska zakochania się w nim. O ile już się to nie stało. A może po prostu była to wdzięczność za uratowanie jej życia? Bez niego nie przeżyłaby nawet jednej doby na tej dzikiej pustyni. Nie, to nie było to. Owszem, podziwiała jego zaradność, odpowiedzialność i siłę, ale czuła coś znacznie więcej. I nie było to tylko fizyczne zauroczenie.

Skoro tak, to nie ma siły, to musi być miłość. Próbowwała sobie to wyperswadować, tłumacząc, że osiem dni to zbyt krótki okres, by kogoś w pełni poznać i obdarzyć prawdziwym uczuciem. Jednak wewnętrzny głos odpowiedział niezwykle rozsądnie, że przez tych kilka dni zdążyli więcej doświadczyć i poznać się lepiej, niż niejedna para przez wiele lat wspólnego życia.

Czyli wszystko jest jasne, poza jedną niewiadomą. Co myśli Reilly? Czy dla niego to też coś więcej niż erotyczna fascynacja?

Westchnęła, wiedząc, że nie uda jej się wyciągnąć z niego ani słowa na temat jego uczuć. Zdradzi je tylko wtedy, gdy sam będzie tego chciał. Za to on mógł w niej czytać jak w otwartej księdze.

Wrócił, przynosząc schwytanego w sidła zająca. Wypatroszył go i pokazał Lei, jak go należy piec na rożnie, by był miękki, lecz nie przypalony. Przygotowała też danie z sitowia. Gotowanie, jedzenie i mycie naczyń kosztowało ją tyle wysiłku, że potem nie miała siły nawet kiwnąć palcem. Bezwiednie przeczesła włosy palcami i rozmarzyła się. Gdyby tak mieć szampon i móc wziąć gorącą kąpiel...

- Zmęczona? - spytał łagodnie.

- Trochę - przyznała, siadając obok niego. - Chyba głównie dlatego, że tak okropnie wyglądam.

Objął ją, oparł o siebie i splótł palce na jej brzuchu. Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w ogień, a Lea czuła, jak ogarnia ją cudowna błogość.

- Nie uważasz, że powinieneś zaprzeczyć moim słowom? Przynajmniej z uprzejmości - zauważyła przekornie z odrobiną zalotności.

- Nie zamierzam mówić o tym, co i tak jest oczywiste - skwitował krótko.

Roześmiała się.

- Co za dyplomatyczna odpowiedź!

Z daleka dobiegło przejmujące wycie kojota. Z odległego wzgórza odpowiedział mu inny. Na ciemnym niebie błyszczał srebrzyście sierp księżycy i rój niezliczonych gwiazd.

- Chcesz więc, żebym powiedział, że twoje włosy pachną dymem i wolnością? Że ich kolor przypomina mi płową sierść spotkanej o poranku łani? - szepnął w zamyśleniu Reilly.

Na moment aż straciła oddech.

- Naprawdę tak myślisz? Poczwała, że się uśmiechnął.

- Masz oczy młodego jelonka, ogromne i ufne, otoczone długimi rzęsami o kolorze drewna ozłoczonego słońcem - przytulił ją mocniej. - Całe twoje ciało jest delikatne i kruche, właśnie jak u jelonka.

- Och, myślę... - kręciło jej się w głowie od tego, co usłyszała - .. że któryś z twoich przodków musiał pocałować słynny Blarney Stone w Irlandii, który czyni ludzi krasomówcami.

- Coś takiego - zaśmiał się. - W takim razie odziedziczyłem tę zdolność i po mieczu i po kądzieli. Przecież jednymi z najwspanialszych mówców w naszym kraju byli Indianie, na przykład Czerwona Chmura. Szkoda tylko, że żaden z białych nie chciał ich słuchać - zauważył bez goryczy, po prostu stwierdził fakt.

Siedzieli jeszcze długo, przytuleni, wpatrzeni w ogień, zasłuchani w ciszę nocy. W końcu Reilly zaproponował, by poszli spać. Zgodziła się tylko dlatego, że wiedziała, iż spędzi całą noc w jego objęciach, inaczej wolałaby siedzieć tak do rana.

Gdy się położyli, uniosła głowę do pocałunku, który spowodował, że ogarnęło ją rozkoszne gorąco. Czwała je nawet wtedy, gdy wreszcie oderwał usta od jej warg i kazał jej spać. Jak zwykle, położyła głowę na piersi Reilly'ego. Równomierne, mocne bicie jego serca wkrótce ukołysało ją do snu.

Rano poczuła przejmujący chłód. Wstrząsnęła się z zimna, próbując przytulić się mocniej do ciepłego męskiego ciała.

Oprzytomniała w jednej chwili. Była sama!

Odrzuciła płachtę na bok, usiadła i rozejrzała się dookoła. Ogień trząskał wesoło, widać było, że Reilly niedawno dołożył dREW. Jednak jego nigdzie nie było widać.

Zniknęła także manierka. Lea wstała niezdarnie, rozejrzała się ponownie i nagle przeniknął ją dreszcz.

- Nie mógł mi tego zrobić! - powiedziała głośno, by odegnać przerażającą myśl.

Lecz rzeczywistość potwierdzała jej najgorsze przypuszczenia. Naraz przypomniało jej się, że Reilly przecież wcale nie przyrzekał, iż nie wyruszy bez niej! Spojrzała w głąb doliny. Prawdopodobnie wyszedł o brzasku, przekonany, iż będzie zbyt słaba i przestraszona, by podążać jego śladem. Z determinacją zacisnęła zęby.

- No, to bardzo się zdziwisz, skarbie! - mruknęła. Nie mógł odejść daleko. Jeśli się pośpieszy, to go jeszcze dogoni. Szybko zgasła ogień, przysypując go dokładnie piaskiem. Zdecydowała, że nie weźmie ze sobą niczego, gdyż to by tylko przeszkadzało jej w marszu. Najważniejsze, czyli manierkę z wodą, Reilly miał przy sobie.

Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, czy jej postępowanie jest rozsądne. Pośpiesznie opuściła obozowisko, nie oglądając się za siebie. Myślała jedynie o tym, że musi jak najszybciej dogonić Reilly'ego. Po kilku krokach zaczęła biec, by nadrobić dzielącą ich odległość.

Gałęzie pustynnych krzewów smagały ją po nogach, lecz nie zwracała na to uwagi. Stado przestraszonych ptaków wzbiło się w powietrze, ale nawet nie rzuciła na nie okiem. Wypatrywała tylko tego, za którym podążała.

Krzyknęła nagle z przestachem, gdy coś ją chwyciło i pociągnęło do tyłu. Wpadła na coś twardego i nieruchomego.

- Do jasnej cholery, gdzie ty biegniesz? - usłyszała znajomy głos.

Odwróciła się, by z niedowierzaniem spojrzeć w gniewną twarz. Roześmiała się z niewypowiedzianą ulgą.

- Odpowiedz mi! - Patrzył na nią lodowato.

- Myślałam... Och, bałam się, że zostawiłeś mnie i poszedłeś po pomoc.

- Ty stuknięta... - Powstrzymał się od wygłoszenia dalszego ciągu. - A ty pobiegłaś za mną?

Kiwnęła głową, próbując opanować zadyszkę.

- Mówiłam ci przecież, że tak zrobię.

- A nie mogłaś się najpierw upewnić, gdzie poszedłem, zamiast lecieć na pustynię jak ostatnia wariatka? - spytał ostro.

- Szukałam cię, ale nie znalazłam - broniła się. - Gdzie byłeś?

- Sprawdzałem sidła. ~ Puścił ją, oparł dłonie na biodrach i wpatrywał się w nią potępiająco.

- Och... Kompletnie o nich zapomniałam - przyznała.

Rzeczywiście, ogarnęła ją wtedy taka panika, że nie była zdolna do logicznego myślenia i pamiętania o sidłach.

Reilly chwycił głęboki, uspokajający oddech, dając jej zarazem do zrozumienia, co o tym wszystkim myśli.

- Skoro chciałaś się udać za mną na pustynię, to może zechcesz zmienić kierunek i pójść ze mną z powrotem do naszego obozu? - spytał z gryzącą ironią. - Trzeba ponownie rozpalić ogień.

Potulnie skinęła głową. Nic dziwnego, że był na nią wściekły. Przecież mogła bardzo łatwo zabłądzić, dolina była szeroka i pełna niebezpieczeństw. Dopiero teraz dotarło do niej, że zachowała się niezwykle lekkomyślnie.

- Jakim cudem... - Przyśpieszyła, by dotrzymać mu kroku. - Skąd wiedziałeś, że opuściłam obóz?

- Po prostu usłyszałem, że coś się przedziera przez krzewy, robiąc przy tym niesamowity hałas. Skoro nie mogło być to stado słoni, to musiałaś być ty.

- Postąpiłam jak ostatnia idiotka - przyznała zawstydzona. Posłał jej lodowate spojrzenie.

- Jeśli sądzisz, że zaprzeczę, to się mylisz. Pomyślała, że dopóki Reilly choć trochę nie ochłonie z gniewu, najlepiej będzie siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Bez słowa ułożyła polana, po czym cierpliwie próbowała rozpalić ogień. Po wielu wysiłkach udało jej się. Reilly tymczasem patroszył schwytanego w sidła ptaka, nie odzywając się i nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

Nie pozostawało jej nic innego, jak siedzieć i czekać, choć panujące między nimi milczenie ciążyło jej coraz bardziej. W końcu doszła do wniosku, iż tak dalej być nie może i że najwyższy czas na

zawieszenie broni. Gdy ptak został już oczyszczony i oskubany, postanowiła skorzystać z okazji.

- Daj, ja go upiekę - sięgnęła po rożen. - To przecież zajęcie dla squaw, nieprawdaż? - Spróbowała rozładować napięcie za pomocą ich stałego żartu.

- Jesteś białą dziewczyną. Nie jesteś squaw. - Obojętność w jego głosie dotknęła ją do żywego.

- Powiedziałam już, że mi głupio. Co jeszcze chcesz usłyszeć?

Umocował rożen i wstał, a wyraz jego twarzy z trudem dałoby się określić jako przyjazny.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że mogło ci się coś stać? Dookoła czyhają liczne niebezpieczeństwa, w każdej chwili można spotkać drapieżnika albo wpaść w jakiś dół i skrzyć kark! Nie mówiąc już o śmierci z głodu czy pragnienia! Przecież nic ze sobą nie wzięłaś!

- Bo chciałam cię jak najszybciej dogonić! - krzyknęła, niemal doprowadzona do szału oskarżycielskim tonem jego głosu. - Nie chciałam, by cokolwiek opóźniało mój marsz, nie mogłam niczego nieść. W dodatku wzięłaś manierkę, jak więc to sobie wyobrażasz? Miałam lecieć przez pustynię z patelnią wody?

- Nigdzie nie miałaś lecieć. A gdybym nawet naprawdę odszedł, to powinnaś siedzieć na miejscu i nie ruszać się stąd pod żadnym pozorem! Manierkę wzięłam po to, by ją napelnić po drodze, gdy szedłem sprawdzać sidła.

- A niby skąd miałam to wiedzieć? - spytała gniewnie.

Zirytował się jeszcze bardziej, a jego zielone oczy zwięzły się niebezpiecznie. Przypominał gotowego do skoku drapieżnika.

- Powiniennem przełożyć cię przez kolano i sprać za to, co przez ciebie przeszedłem - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- A to, przez co ja przeszłam, już cię nie obchodzi? - odcięła się.

- Myślałam, że mnie zostawiłeś na tym pustkowiu zupełnie samą!

- I dlatego również zupełnie sama pobiegłaś na pustynię, nie wiedząc, gdzie się znajdujesz i niczego ze sobą nie biorąc. Nawet gdybyś nie zabłądziła, to do jutra umarłabyś z wyczerpania i pragnienia! - stwierdził dobitnie, podnosząc głos.

- No i świetnie! Nareszcie miałbyś kłopot z głowy! Nie musiałbyś już dłużej żałować, że wtedy wróciłeś i wyciągnąłeś mnie z samolotu! - zawołała histerycznie i odwróciła się plecami.

W jednej chwili chwycił ją, obrócił z powrotem i przycisnął do siebie. Otworzyła usta, by zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu, lecz w tym samym momencie zostały zamknięte brutalnym pocałunkiem. Świat zawirował jej przed oczami, nogi się pod nią ugięły, bezradnie oparła się o jego silne, szczupłe ciało i nie zastanawiając się nad tym, co robi, odwzajemniła pocałunek.

Chwilę później wargi Reilly'ego przesuwwały się w zmysłowej pieśzczocie po jej szyi.

- Święty by przy tobie zwariował - mruknął żarliwie.

Ciepły oddech owiał jej ramiona, potęgując przyjemność doznań. Lea z rozkoszą wciągała znajomy, podniecający zapach jego skóry.

- Ale ty nie jesteś święty - szepnęła. Wyprostował się i zdecydowanie odsunął ją od siebie.

Patrzył przy tym na nią takim wzrokiem, że serce Lei, zamiast się uspokoić, zaczęło bić jeszcze szybciej.

- Nie przypominaj mi o tym - ostrzegł. Z ulgą zauważyła, że w jego głosie nie słychać już gniewu. - Lepiej przypilnuj naszego śniadania, żeby się nie przypaliło, a ja się tymczasem umyję.

Rzeczywiście, płomień już lizały grzbiet ptaka. Szybko rzuciła się na ratunek, zaś Reilly poszedł na koniec jeziora, tam, gdzie formował się strumień. Lea obracała rożen, zerkając przy tym ukradkiem, jak śniady, czarnowłosy mężczyzna z rozmachem ochlapuje twarz i kark zimną wodą, jakby mu było nieznośnie gorąco i potrzebował się ochłodzić.

Uśmiechnęła się i spojrzała w niebo. O upale nie było jeszcze mowy, słońce przecież niedawno wstało i dopiero zaczynało leciutko przygrzewać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po śniadaniu Reilly zaproponował, by położyła się w cieniu i przespała największy upał. Posłuchała, wiedząc, jak bardzo jest teraz ważne, by odzyskała siły. Jednak sen nie nadchodził.

Obserwowała spod współprzymkniętych powiek, jak jej niezwykle towarzysz naprawia jedno z uszkodzonych sideł i czuła, że znów trawi ją gorączka. Tym razem nie została ona spowodowana chorobą, chyba że miłość również można tak nazwać. Jeśli tak, to pozostawało tylko mieć nadzieję, iż jest to choroba na tyle zakaźna, że Reilly też na nią zapadnie.

Zmuszała się, by zamknąć oczy, lecz chwilę później otwierały się z powrotem, niemal bez jej udziału i okazywało się, że znów się w niego wpatruje. Czuła, jak jej skóra pragnie powtórnie zaznać dotyku silnych, niecierpliwych rąk. Wszystko inne przestało się liczyć.

Dopiero teraz w pełni zrozumiała, w jak bardzo sprzyjających warunkach się znaleźli. Przypominali Adama i Ewę, gdy tak żyli zupełnie sami w tym miniaturowym raju. Kuszące jabłko poznania było raptem na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło po nie sięgnąć, a poznałaby smak bycia prawdziwą kobietą...

Nie, tak dalej być nie może. Bezczynność jeszcze tylko pogarsza sprawę, zdecydowała stanowczo i usiadła. Reilly spojrzał z lekkim zdziwieniem na zdeterminowany wyraz jej twarzy.

- Zamierzam uprać swoje rzeczy - zakomunikowała. - Jeśli chcesz, upiorę też twoją koszulę. Nie mam ochoty tak leżeć i się obijać - trochę niezręcznie wyjaśniła nagłą chęć do pracy.

Skinął głową, bez słowa ściągnął i tak już rozpiętą koszulę, po czym natychmiast z powrotem skoncentrował się na swoim zajęciu.

- Gdybyś chciała, to zanim wyschnie twoje ubranie, możesz włożyć którąś z tych moich dwóch koszul, których używaliśmy jako plecaków - zaproponował, nie przerywając pracy i nie patrząc na nią.

- Dziękuję - z wdzięcznością przyjęła ofertę, jednak wydawało się, że Reilly nawet nie zwrócił na to uwagi.

Ukryta za gęstymi krzewami zdjęła ubranie, by włożyć męską koszulę i z zadowoleniem stwierdziła, że sięga ona aż do połowy ud, całkiem przyzwoicie osłaniając jej nagość. Podwinęła rękawy i przyklękła nad strumieniem. Przywrócenie ubraniom nawet względnej czystości jedynie za pomocą zimnej wody okazało się trudnym zadaniem. W końcu doszła do wniosku, że lepszych efektów nie uda się w tych warunkach osiągnąć i starannie rozwiesiła wszystkie rzeczy na gałęziach.

Wilgotną dłonią otarła pot z twarzy i szybko schowała się z powrotem w cieniu. Z rozmarzeniem spojrzała na jeziorko.

- Reilly? Czy mojej ranie zaszkodziłoby, gdyby się trochę zamoczyła?

- A co? Zamoczyłaś opatrunek? - spytał z niepokojem, wciąż jednak nie podnosząc na nią wzroku.

- Nie - zapewniła pośpiesznie. - Ale, gdybyś nie widział przeciwwskazań, to chciałabym się wykapać, żeby się trochę ochłodzić.

- Najpierw wolałbym sprawdzić, jak to się goi. - Podniósł głowę, a w zielonych oczach pojawił się błysk aprobaty na widok Lei ubranej tylko w jego koszulę.

- Chwileczkę. - Odwróciła się plecami, uważnie wysunęła lewe ramię z rękawa, po czym starannie przysłoniła obnażony biust.

Nie skomentował tego ani słowem, choć widać było, że go to bawi. Podniósł się, zdjął opatrunek i obejrzał ranę.

- Czy wiesz, że zostanie ci blizna? - spytał, bandażując ramię z powrotem.

- Jakoś to przeżyję. - Starala się, by jej głos zabrzmiał naturalnie, lecz nie przyszło jej to z łatwością. Trudno jej było nawet normalnie oddychać, gdy Reilly znajdował się tak blisko. Wystarczyło tylko spojrzeć na pięknie sklepioną, brązową pierś, a pożądanie budziło się znowu, niczym wąż, kuszący do zerwania zakazanego owocu... Spróbowała wziąć się w garść i oderwać wzrok. Spojrzała w jego twarz. - To co? Mogę się wykapać?

On z kolei nie odrywał oczu od jej ust. Lea bezwiednie zaczęła się pochylać ku niemu, nie mając sił, by dalej walczyć z namiętnością i uczuciem. Oprawiony w srebro turkus hipnotyzująco połyskiwał na jego szyi...

Reilly odwrócił się szybko. - Tak, ale wolałbym, żebyś nie zamoczyła opatrunku. Lepiej nie ryzykować. Postaraj się trzymać

lewą rękę nad wodą. Jezioro nie jest głębokie, nie powinnaś mieć więc z tym problemów, o ile się nie poślisz lub nie przewrócisz.

- Skąd wiesz, jakie jest? - zdziwiła się.

- Kiedyś cię w nim własnoręcznie wykąpałem, nie pamiętasz? - Sięgnął po siłki, a w jego głosie zabrzmiała lekka kpina. - Zresztą, parokrotnie sam z niego korzystałem. Rankami, zanim się obudziłaś.

No, to teraz już się nie dziwię, czemu zawsze był taki świeży i pełen energii, pomyślała nieco zgryźliwie.

- Dobrze, postaram się uważać - obiecała bez przekonania.

Gdy stanęła nad brzegiem, zerknęła przez ramię. Czy to przypadkiem, czy celowo, Reilly siedział zwrócony plecami do niej. Bez przeszkód zdjęła więc koszulę i weszła do wody. By nie stracić równowagi, na wszelki wypadek przytrzymała się zwieszających się nad głową wierzbowych gałęzi. Szybko znalazła najgłębszą część jeziora, gdzie poziom wody sięgał zaledwie do talii. Poczowała przy tym na nogach zimny prąd. Pewnie gdzieś tu było źródło.

Mycie się z jednym ramieniem w górze okazało się nad wyraz niewygodne, jednak przyjemność przebywania w chłodnej wodzie rekompensowała wszystko. Lea z najwyższym trudem powstrzymała się od tego, by nie zanurzyć się całkowicie i w końcu z ociąganiem wyszła na brzeg. Reilly nie odrywał wzroku od naprawianych siodeł.

Szybko wytarła się jego koszulą, wilgotną narzuciła na siebie i poszła sprawdzić, co z wypranymi ubraniami. Na tak ostrym słońcu zdążyły już wyschnąć, przebrała się więc z powrotem w swoje rzeczy. Spodnie były miejscami jeszcze trochę mokre, ale przy panującym upale stanowiło to tylko zaletę.

- Proszę, twoja koszula - odezwała się, gdy wróciła na polankę.

- Powieś ją na parawanie - poprosił, nadal skupiając się

wyłącznie na swojej pracy.

- Jeszcze nie skończyłeś? Zajmujesz się tym przez cały dzień - zauważyła.

- Cokolwiek się w to złapało, zajmowało się tym przez całą noc - zareplikował.

Przykłęka przy rzeczach, które zabrali ze sobą z płaskowyżu.

Przejrzała je niecierpliwie, co zajęło tylko chwilę, ponieważ nie mieli ich wiele. W końcu spojrzała na Reilly'ego.

- Nie wiesz, gdzie się podział grzebień?

- Jest obok metalowej puszki z jedzeniem. Znalazła go i zaczęła się czesać. A raczej próbowała to zrobić, gdyż rozdzielenie straszliwie splątanych włosów okazało się zajęciem wymagającym dużej cierpliwości. Dopiero teraz zauważyła, że słońce rozjaśniło wierzchnią ich warstwę, tworząc złociste pasemka. Walczyła z niesfornymi kosmykami, obserwując przy tym przesuwaną się po niebie pojedynczą chmurę. Nad jednym ze wzgórz widniał błydy księżyc.

Przez te dwa dni nie dostrzegli nic, co by chociaż przypominało samolot. Gdy leżała w gorączce, z pewnością też nic się nie pojawiło, gdyż Reilly wspomniałby o tym. To znaczy, że nikt nie wie, gdzie są. I że wciąż żyją.

Pomyślała o ojcu, surowym, nienagannie wychowanym i nie pozwalającym sobie nigdy na okazywanie uczuć. Dziwnie kontrastowało to z charakterem jej matki, życzliwym, otwartym, co

pozwalalo jej nawiązywać bliskie przyjaźnie wszędzie tam, gdzie mieszkali.

Ojciec z pewnością trzeźwo przeanalizował, jakie jego córka miała szanse na przeżycie katastrofy lotniczej, a jeśli przeżyła ją, to czy miała możliwość przetrwania potem dziewięciu dni na pustyni. Musiał dojść do logicznego wniosku, że Lea najprawdopodobniej zmarła i teraz skupia się na tym, by pocieszyć mamę. Dałaby głowę, że Lonnie z kolei próbuje poruszyć niebo i ziemię, by ją odnaleźć i że nie spocznie, póki nie dopnie swego. Ojciec zawsze godził się z tym, co nieuniknione, brat zaś nie robił tego nigdy. Walczył do końca.

Tata miałby rację, gdyby nie fakt, że nie uwzględnił w swych rozważaniach Reilly'ego. Nie wiedział o nim ani o jego znajomości pustyni i rozlicznych talentach...

Uśmiechnęła się bezwiednie, gdy wyobraziła sobie reakcję rodziców, gdyby mogli zobaczyć tę niezwykłą scenę. Pół-Indianin naprawia sidła, by schwytać coś na kolację, a ona przed chwilą kąpała się nago w jeziorku!

Wyglądało to tak, jakby czas cofnął się o tysiące lat. Mieli przy sobie kilka współczesnych przedmiotów, takich jak latarka, scyzoryk czy pistolet, ale przecież sporo rzeczy musieli wykonać sami, jak na przykład patelnię, miski, łyżki, parawan.

- Czemu się śmiejesz? - Reilly obserwował ją od dłuższej chwili z zainteresowaniem.

- Właśnie wyobraziłam sobie zdumienie moich rodziców, gdyby zobaczyli nas tutaj, żyjących jak ludzie pierwotni - wyjaśniła, ale jej głos zabarwiła odrobina goryczy.

Ze zrozumieniem skinął głową, przelotnie rzucił okiem na niebo i znów wrócił do sideł. Po chwili dotarło do niej znaczenie tego, co zrobił.

- Nie ma większych szans, że ktoś nas tu znajdzie, prawda? - domyśliła się. - Musimy liczyć tylko na siebie i dojść do jakichś ludzkich siedzib?

- Tak - potwierdził krótko.

Bez słowa powiodła wzrokiem po skalnych ścianach wznoszących się wzdłuż obu stron doliny, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Aż trudno było uwierzyć, że gdzieś tam, daleko, krzyżują się drogi, samochody tłoczą się w korkach, stoją niezliczone domy, w których człowiek ma do dyspozycji elektryczność, bieżącą wodę, gaz, klimatyzację... Gdy patrzyła na dzikie piękno otaczającej ją przyrody, to jej poprzedni świat, krzykliwie kolorowe Las Vegas, wydawał się tylko snem.

Z roztargnieniem przejechała grzebieniem po włosach i aż jęknęła z bólu, gdy niechcący szarpnęła wyjątkowo splątane pasmo. Zauważyła zdziwiony wzrok Reilly'ego.

- Mam na głowie istny kołtun - wyjaśniła.

Nadal walczyła z włosami, podczas gdy on wstał, by sprawdzić, jak się spisują tak pieczołowicie reperowane przez pół dnia sidła. Niestety, wystarczyło je mocniej nacisnąć i pękły dokładnie w tym miejscu, które właśnie naprawił. Bez namysłu cisnął całą konstrukcję do ognia.

- Naprawdę nie da się nic z tym zrobić? - spytała zaskoczona.

Potrząsnął głową.

- Musimy poprzestać na trzech pozostałych. - Dopiero teraz spojrzał uważniej na jej bezskuteczne wysiłki. - Może ci pomóc?

- Chętnie - westchnęła. - Zupełnie nie widzę, co robię. Za to czuję aż nadto dobrze! - Pomasowała skórę głowy, mocno już obolałą od wielokrotnego szarpania.

Reilly podszedł, wyjął jej grzebień z dłoni i przykląkł tuż obok. Uważnie rozdzielił splątane pasma, jedno po drugim, po czym chciał oddać grzebień.

- Nie mógłbyś rozczesać również reszty? - zaproponowała prosząco. - Jedną ręką naprawdę trudno mi to zrobić... - W rzeczywistości chodziło jej o to, by go zatrzymać dłużej przy sobie. Może nawet by się udało, jednak drżący głos zdradził ją.

- Nie - odmówił gniewnie i cisnął grzebień na ziemię. Lea odwróciła się do niego, a jej ogromne, błyszczące oczy zdradzały miłość i pragnienie. Uchylone, wilgotne usta stanowiły wyraźne zaproszenie, którego Reilly nie mógł nie zauważyć. Z trudem oderwał wzrok od jej warg.

- Uważaj, proszę, prowadzisz bardzo niebezpieczną grę... - ostrzegł półgłosem.

- Wiem - szepnęła ze ściśniętym gardłem. - Ale...

- Nasza sytuacja stwarza wystarczająco dużo pokus. Nie musisz dodawać następnych - stwierdził stanowczo.

Odwróciła wzrok i spuściła głowę.

- Oczywiście masz rację - przyznała, lecz te rozsądne słowa jakoś w żaden sposób nie miały najmniejszego wpływu na

przyśpieszony puls i oddech. Widać jej ciało nie kierowało się prawami logiki.

Smagła dłoń lekko ujęła ją pod brodę i uniosła jej twarz ku górze. Spojrzała wprost w zielone oczy, by wyczytać w nich z trudem maskowane pożądanie.

- Rzeczywiście powinienem był rano zostawić cię i wyruszyć po pomoc.

Poruszyła głową, by przesunąć policzkiem po jego palcach. Aż przymknęła oczy. Tak uwielbiała ten dotyk...

- Nic by ci to nie dało. Poszłabym za tobą.

- Już to zrobiłaś - uśmiechnął się nieznacznie. Teraz i on nie był w stanie walczyć z siłą, która okazała się potężniejsza od woli ich obojga. Pochylił się ku Lei, a gdy ich usta zetknęły się, splotła dłonie na jego karku, czując na nich miękki dotyk gęstych włosów.

Pod wpływem pieścizot Reilly'ego błyskawicznie ogarnął ją płomień, porównywalny chyba w swej intensywności do gorejącego nad nimi słońca. Przed zamkniętymi oczami wirowały jej wszystkie kolory tęczy, kręciło się w głowie od podniecającego, męskiego zapachu, zmysły zawładnęły nią całkowicie.

Z trudem chwytiała powietrze, oddychając szybko i płytko, gdy zaczął całować jej szyję. Zadrzała, kiedy odchylił kołnierz jej bluzy, pieścił ramiona, potem znowu szyję, uszy, policzki. Specjalnie jednak zwlekał z kolejnym, pełnym żaru pocałunkiem, aż wreszcie Lea sama zaczęła gorączkowo szukać ustami jego warg.

Położył ją na trawie, chwyciła więc za muskularne ramię, by pociągnąć go za sobą i już nie puściła, rozkoszując się dotykiem

nagiej, rozgrzanej skóry. Reilly obsypał ją namiętymi pieszczotami i pocałunkami, prawie nie pozwalając jej oddychać, lecz nawet nie przyszło jej do głowy, by zaprotestować. Poddała się ulegle, całkowicie zdała się na jego łaskę i niełaskę, szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Jej serce rozsadzała bezgraniczna radość, gwałtowne uniesienie, co oznaczało, że doznawana rozkosz była czymś znacznie więcej niż tylko fizyczną namiętnością. Lea zrozumiała, że po tym, co nastąpi, nie będzie już odwrotu. Nawet gdyby Reilly nie dotknął jej nigdy więcej, to i tak będzie należała do niego już na zawsze...

A potem wszystko zniknęło i odpłynęła w cudowny, promienny świat, w którym nie ma już myśli, pytań i wątpliwości, jest tylko zachwyty bez granic i poczucie całkowitego zatracenia się w drugiej osobie. Wydawało się, że

Reilly również miał podobne doznania, gdyż jego pocałunki stały się jeszcze gwałtowniejsze, bardziej chciwe i nienasycone.

Jednak w pewnej chwili zupełnie nieoczekiwanie położył się na boku, cofnął dłoń z jej piersi i gorączkowo otarł twarz. Wolną ręką trzymał Leę mocno przy sobie, nie pozwalając jej się ruszyć.

Oszołomiona, znienacka ściagnięta z chmur na ziemię, słuchała gwałtownego bicia jego serca i nierównego oddechu. Dopiero teraz zrozumiała, że mało brakowało... Ale chciała, żeby to się stało. Wiedziała, że byłaby dzięki temu szczęśliwa, nie obchodziło jej nic innego, nie dbała o przyszłość, nie myślała o konsekwencjach.

Zaskoczył ją fakt, że dla niego tak łatwo zapomniała o swoich przekonaniach i zasadach. Jednak coś innego okazało się jeszcze

bardziej zdumiewające, niemal przerażające. Siła woli Reilly'ego. To niesamowite, jak ten człowiek potrafił się kontrolować.

- Reilly... - szepnęła drżącym głosem. Nie patrząc, położył dłoń na jej ustach.

- Nie ruszaj się.

To kategoryczne żądanie zdradzało wewnętrzną walkę, jaką wola toczyła z namiętnością. Leę ogarnęła przemożna pokusa, by go nie posłuchać i sprawić, by się złamał. Przy jego obecnym stanie nie byłoby to chyba trudne. Wiedziała jednak, że mądrzej będzie spełnić jego polecenie. Leżała więc w kompletnym bezruchu tak długo, aż poczuła, jak jego mięśnie rozluźniają się. Oznaczało to, że odzyskał pełną kontrolę nad swoim zachowaniem.

- Opowiedz mi o swoim chłopaku - powiedział cicho. Ze zdumieniem zamruwała powiekami.

- O kim?

- O Marvinie. Spotykałaś się z nim przecież. Uniosła głowę i spojrzała w nieprzeniknioną, prawie obojętną twarz.

- Skąd możesz o nim wiedzieć?

- Wspomniałaś o nim, gdy leżałaś w gorączce - uśmiechnął się samymi ustami, oczy pozostały chłodne.

Dziwne, zupełnie nie potrafiła sobie przypomnieć, jak Marvin wygląda. Wydawało się, że widziała go wieki temu. Majaczyło jej niewyraźne wspomnienie jakiegoś całkiem nieinteresującego człowieka, nawet nie dorastającego do pięt mężczyźnie, który ją właśnie trzymał w ramionach.

- Pracujemy w tym samym banku - odparła spokojnie.

- I jeśli wystarczy wyjść z kimś parę razy na miasto, żeby być uznanym za parę, to rzeczywiście jest to mój chłopak. I co ja takiego o nim mówiłam?

- Nic.

Trudno, żeby było inaczej. W sumie nic ją z Marvinem nie łączyło, był co prawda miły, ale jego zaborczość irytowała ją. Nagle poczuła ukłucie zazdrości.

- A teraz ty opowiedz mi o swojej dziewczynie - zażądała ostro.

- Nie sądzę, by to było odpowiednie słowo... dziewczyna? - Skrzywił się cynicznie, położył na plecach i zaczął wpatrywać się w niebo.

Te obojętnie wypowiedziane słowa sprawiły jej nieznośny ból.

- W takim razie opowiedz mi o... o twojej kobiecie - zaproponowała z lekką goryczą. - Czy... czy mieszka z tobą?

Inaczej położył głowę, by spojrzeć na wciąż trzymaną w uścisku dziewczynę.

- Mieszkam sam - oznajmił głosem pozbawionym wszelkich uczuć. - Najważniejsza jest dla mnie praca. Znam wiele kobiet, ale żadna z nich nie jest moją kobietą.

Powinno jej to sprawić ulgę, lecz z niewiadomego powodu dodatkowo zwiększyło jej stres. Nagle zrozumiała, czemu. To przecież jasne. W oczach Reilly'ego jest tylko jedną z tych wielu kobiet...

- Hm... Wspomniałeś, że mieszkasz w Las Vegas - gorączkowo próbowała zmienić temat. - Gdzie?

- Mam dom na przedmieściu, u stóp jednego ze wzgórz.

- Tak... A czemu wybrałaś właśnie to miejsce?

- Ze względu na interesy. Jest stamtąd blisko zarówno do kopalni, jak i do odbiorców w Arizonie i Kalifornii.

Ponownie uniosła głowę, by spojrzeć na niego. Starła się przy tym uśmiechnąć, choć z najwyższym trudem powstrzymywała łzy.

- Czy zobaczymy się jeszcze, gdy wrócimy do Vegas?

Wstrzymała oddech, gdyż nie odpowiedział od razu.

Wpatrywała się badawczo w przystojną twarz, z której nie potrafiła nic wyczytać.

- Moglibyśmy któregoś wieczora zjeść razem obiad - Reilly starannie dobierał słowa - żeby uczcić szczęśliwy koniec naszej przygody.

Cóż, lepsze to niż nic. Z westchnieniem skierowała wzrok na jego nagi, płaski brzuch i bezwiednie położyła na nim dłoń.

- Byłoby mi bardzo miło...

Nagle chwycił Leę mocno za nadgarstek, przewrócił ją na plecy i boleśnie przycisnął jej ramiona do ziemi. Pochylił się nad nią, a jego zielone oczy miały błyskawice.

- Nie rób tego! - warknął wściekle. - Czy myślisz, że jestem z kamienia?

- Przykro mi - powiedziała ze skruchą, lecz bez śladu lęku. - Nic na to nie mogę poradzić.

- Owszem, możesz! - Uwolnił ją i gwałtownie wstał. Stał nad nią, patrząc lodowatym, nieubłaganym wzrokiem.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, co się między nami dzieje!

- Odwrócił się plecami i nerwowo potarł dłonią kark.

- Zbyt długo przebywamy tu zupełnie sami. Świat, w którym żyliśmy przed katastrofą, stał się teraz zupełnie nierealny. Ale wrócimy do niego wcześniej czy później - dodał z przekonaniem. - A wtedy wszystko się zmieni. Spędzone tu razem dni wydadzą nam się snem.

- Tak myślisz? - spytała spokojnie, choć z lekkim zdziwieniem. Dla niej nie miało znaczenia, czy będzie chodziła po asfalcie, czy po piasku pustyni. Jakoś nie wydawało jej się, by miało to jakikolwiek wpływ na miłość, jaką czuła do Reilly'ego.

- Takie jest życie - stwierdził i widać było, że nie zamierza dyskutować na ten temat. Podszedł szybko do parawanu, by zdjąć z niego koszulę. - Pójdę sprawdzić, czy coś się złapało w sidła.

Czy chciał jej coś przez to powiedzieć? Z namysłem śledziła wzrokiem oddalającą się sylwetkę. Czyżby w ten sposób ostrzegał ją, by się w nim nie zakochiwała, ponieważ on nie jest zakochany w niej?

Aby nie poddać się ogarniającej ją rozpacz i odrętwieniu, sięgnęła po wciąż leżący na ziemi grzebień. Starła się skupić na dokładnym rozczesaniu włosów, by oderwać myśli od przygnębiających rozważań.

Reilly nie wracał. Z pewnością nie zostawił jej, gdyż nie wyruszałby w drogę tak późno. Co więc go zatrzymało? Nie ryzykowałby bez powodu błędzenia w ciemności po pustyni. Sidła znajdowały się co prawda w pewnej odległości od jeziora, ale przecież nie aż tak daleko!

Gdy zaczął zapadać zmierzch, sięgnęła po latarkę, postanawiając, że gdy Reilly nie wróci, do chwili kiedy słońce dotknie

grani, pójdzie go szukać. Dołożyła do ognia, po czym spojrzała na niebo, by sprawdzić pozycję słońca. Czas iść.

Nagle jakiś szósty zmysł kazał jej się odwrócić, mimo iż nie usłyszała żadnego odgłosu. Pośród głębokich cieni między wierzbami ujrzała szczupłą postać. Reilly poruszał się bezszelestnie niczym jego przodkowie.

Dopiero wtedy w pełni zdała sobie sprawę z tego, w jakim napięciu czekała na jego powrót. Aż osłabła z ulgi, na szczęście powstrzymało ją to od podbiegnięcia i rzucenia mu się w ramiona. Zauważyła badawczy wzrok, skierowany na latarkę w jej dłoni.

- Ja... Właśnie miałam iść cię szukać - wyjaśniła drżącym głosem. - Myślałam, że skoro nie wracasz przed zachodem, to znak, że coś ci się stało.

Obojętny wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Wyjął z kieszeni pistolet, włożył go z powrotem do apteczki i skierował się do ogniska. Wszystko to bez jednego słowa.

- Gdzie byłeś? - spytała zaintrygowana.

Na jego koszuli widniały plamy potu, lecz nic poza tym nie wskazywało, że musiał podjąć jakiś fizyczny wysiłek.

Zachowywał się, jakby nigdy nic. Co gorsza, zachowywał się, jakby był zupełnie sam. Równie dobrze mogło jej tu w ogóle nie być.

- W sidła nic się nie złapało - odezwał się wreszcie, unikając jednak patrzenia na Leę. - Próbowałem zapolować. Niestety, bezskutecznie.

No tak, jeszcze i to. Objęła się ramionami, gdyż nagle poczuła się strasznie nieszczęśliwa.

- Wcale nie jestem głodna - oznajmiła, wpatrując się w ogień.
- Ale musisz coś zjeść - powiedział twardo.
- Żeby odzyskać siły do marszu, tak? - westchnęła z goryczą.
- Tak. - Obrzucił jej skuloną sylwetkę krótkim spojrzeniem i natychmiast odwrócił wzrok.

Ona zaś nie mogła oderwać oczu od wyrazistego profilu. Kruczoczarne, gęste włosy połyskiwały lekko w świetle płomieni, rozchyłona na piersi koszula odsłaniała smagły, gładki tors. Patrzyła, jak grają jego mięśnie, gdy sięga po manierkę, pije, odstawia ją na bok. Pragnienie, by móc go znów dotykać, powróciło ze zdwojoną siłą.

- Reilly... - W jej głosie brzmiały zarazem ból, namiętność i nie skrywane uczucie.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy on naprawdę pobladł pod opalenizną? Zacisnął mocno szczęki, ale nie spojrzał na nią.

- Pójdę napełnić manierkę, a ty tymczasem zdecyduj, na co masz ochotę. Trzeba otworzyć którąś z trzech pozostałych paczek - wstał.

Lea zerwała się również.

- Nie mam teraz ochoty na jedzenie.

Odpowiedziała jej grucha cisza.

- Czy możesz mnie wysłuchać? - zawołała z rozpaczą, gdy spokojnie przykucnął na brzegu i zanurzył manierkę. - Reilly, kocham cię!

Musiała to wreszcie powiedzieć. Nie potrafiła się już dłużej hamować, zresztą nie widziała powodu, dla którego miałaby to robić.

Nie zareagował. Jego rysy nawet nie drgnęły. Nadal wpatrywał się, jak woda wpływa do naczynia, ignorując kompletnie wszystko inne. Lea poczuła, że musi go przekonać o prawdziwości i głębi swojego uczucia. Po prostu nie wierzył w nie.

- Sądzisz, że to tylko pożądanie, nic więcej. I że to naturalny efekt tej nietypowej sytuacji. Przez wiele dni znajdujemy się zupełnie sami z dala od cywilizacji, jej norm i obyczajów - mówiła gorączkowo. - Ale to nieprawda. To coś więcej niż fizyczna fascynacja. Ja cię naprawdę kocham. Mówię ci to teraz i powtórzę z całym przekonaniem, gdy wrócimy do naszego dawnego świata. Zmiana warunków w niczym nie zmieni moich uczuć.

Zakręcił manierkę i wstał.

- Wyruszamy jutro skoro świt - oznajmił beznamiętnym tonem. Aż się cofnęła. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Myślałam, że... Że mieliśmy poczekać jeszcze dzień czy dwa, zanim... Zanim...

- ..nie poczujesz się lepiej - dokończył, nie raczywszy nawet spojrzeć w jej stronę. - Gdy wracałem do obozu, doszedłem do wniosku, że nie ma sensu dłużej zwlekać. Jesteś już wystarczająco silna, by iść. Jeśli będzie trzeba, poniosę cię.

Bezradnie potrząsnęła głową. - Czy nie słyszałeś, co do ciebie powiedziałam? Jego oczy przybrały cyniczny, nieco drwiący wyraz.

- A myślałaś, że co ci na to odpowiem? Właściwie nie wiedziała, jakiej oczekiwała reakcji na swoje wyznanie. Nie podejrzewała, że Reilly nagle oświadczy, że jemu także na niej zależy. Z całą pewnością nie spodziewała się jednak tego, że ją tak upokorzy i

sprawi jej ból. Jedyne, czego teraz chciała, to odpowiedzieć mu tym samym.

Bez chwili zastanowienia wymierzyła mu siarczysty policzek. Równie błyskawicznie Reilly chwycił ją i wykręcił jej rękę. Przez moment obawiała się, że ją złamie. Z niedowierzaniem spojrzała na rozwścieczonego mężczyznę.

- To boli! - krzyknęła przestraszona furia, jaką w nim niechący obudziła.

- Doprawdy? - spytał, nie kryjąc zadowolenia. Wykręcił jej ramię jeszcze bardziej, przyciskając ją przy tym mocno do siebie. Drugą ręką chwycił długie włosy i jednym szarpnięciem odchylił głowę Lei do tyłu.

Próbowała się wyrwać, lecz nie miała żadnych szans. Chciała zaprotestować, ale jej usta zostały zamknięte, wręcz zmiażdżone niezwykle brutalnym pocałunkiem. Poczwała na języku słony smak krwi...

Puścił jej włosy i po omacku znalazł przód bluzy. Nie zawracał sobie głowy rozpinaniem guzików, mocnym szarpnięciem rozdarł materiał, chwilę później postąpił tak samo z koronkową bielizną. Lea, pozbawiona wszelkiej możliwości ruchu, była zupełnie bezradna wobec tej nagłej napaści.

Z jednej strony ów niespodziewany wybuch niepoohamowanej namiętności przeraził ją, z drugiej wszakże... Gdy brutalnie zacisnął dłoń na nagiej piersi, jej ciało uległe zareagowało na męski dotyk, bolesny i drapieżny, lecz przecież upragniony. Wiedziała, że Reilly

pragnie jej równie mocno, jak ona jego. Wsunęła wolną dłoń pod rozpiętą koszulę, by poczuć szalone bicie jego serca.

Nagle gwałtownie rzucił ją na ziemię. Oddychał szybko i nierówno, a w zielonych oczach widniała pogarda.

- Chcesz mnie sprowokować, żebym wziął cię siłą! - odezwał się chrapliwie. - Nie uda ci się!

- Ja... - Łzy napłynęły jej do oczu. Cóż mogła odpowiedzieć na to fałszywe oskarżenie?

Odruchowo próbowała zakryć przed jego wzrokiem swoją nagość, lecz nie mogła zapiąć bluzy, gdyż prawie wszystkie guziki zostały oberwane. Reilly westchnął z rozdrażnieniem.

- Musisz coś na siebie włożyć, przecież nie będziesz tak chodzić. Weź jedną z moich koszul. - Niecierpliwie zmierzwił włosy dłonią, chwycił koszulę, którą Lea nosiła podczas porannego prania i rzucił w jej kierunku, starannie unikając spojrzenia w pełne łez oczy. - Przygotuję obiad.

W obozie zapadła nieprzyjemna cisza. Bez słowa każde zajęło się swoimi pracami. Nieco później zjedli obiad, choć Lea miała wrażenie, że każdy kęs rośnie jej w ustach. Zraniona duma skutecznie powstrzymywała ją przed odezwaniem się i przzerwaniem nieznośnego napięcia. Panujące między nimi milczenie nie było milczeniem dwojga obcych sobie ludzi, lecz dwóch wrogów.

Gdy zrobiło się ciemno, Lea położyła się spać. Wiedziała, że tej nocy nie mogłaby spędzić w opiekuńczych ramionach Reilly'ego. Odwróciła się plecami do ogniska i siedzącego przy nim mężczyzny.

Teraz wreszcie mogła sobie pozwolić na płacz. Nikt nie widział jej łez.

Zrozumiała, że chociaż tak boleśnie ją dziś zranił, to uczucie, jakie do niego żywiła, nie uległo zmianie. Kochała go równie mocno jak przedtem.

Bezwiednie spojrzała na roziskrzone niebo. Zauważyła spadającą gwiazdę i przez chwilę śledziła ją wzrokiem, lecz wkrótce jej oczy ponownie napełniły się łzami, więc przestała widzieć cokolwiek. Ciaśniej owinęła się sztywną płachtą, ale niewiele to pomogło. To nie chłód pustynnej nocy powodował, że odczuwała przejmujące zimno.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kurczowo zacisnęła palce na swoim kiju. Coś ją ścisnęło w gardle, gdy po raz ostatni patrzyła na małą, prawie bajkową oazę, gdzie wyznała Reilly'emu miłość.

Na gładkiej tafli jeziora kładły się długie cienie, woda wydawała się głęboka, tajemnicza i nieprzenikniona. Wyglądało to tak, jakby musieli opuścić raj, którego bramy zamykały się za nimi bezpowrotnie.

Ognisko zostało już starannie zgaszone i zalane wodą. Wkrótce pusty wiatr zatrze również ten ostatni ślad ich obecności...

- Idziemy - oznajmił obojętnym głosem Reilly, poprawiając tobolek na plecach.

Z trudem odwróciła wzrok od miejsca, z którym odtąd związane będzie jej najpiękniejsze, a zarazem najbardziej bolesne wspomnienie. Bez słowa skinęła głową, nawet nie patrząc na Reilly'ego. Nie potrafiła znieść chłodu i rezerwy, widocznych w jego oczach.

On najwyraźniej nie odczuwał żadnego wzruszenia, opuszczając miejsce, gdzie przez krótkie chwile byli sobie tak bliscy. Ona zaś, gdyby dano jej wybór, nie wróciłaby do rodziny i cywilizowanego świata, lecz została na tym pustkowiu razem z Reillem. Rozumiała jednak, że to tylko romantyczna mrzonka, absolutnie nierealna, zarówno z logicznego, jak i praktycznego punktu widzenia.

Ale przecież go kochała, a miłość nie kieruje się rozsądkiem, pomyślała przygnębiona.

Znów szedł pierwszy, lecz tym razem wolniej niż wtedy, gdy schodzili z płaskowyżu. Oszczędzał jej siły, by mogła dojść dalej. Z tego samego powodu wszystkie ich rzeczy niósł sam, Lea nie musiała niczego dźwigać. Dzięki temu przez pierwszych kilka godzin marszu dawała sobie radę całkiem nieźle, co ją nawet zdziwiło. Obawiała się, iż jest słabsza i że dziesięciominutowe odpoczynki okażą się zbyt krótkie. Z czasem jednak, w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie, lejący się z nieba żar zaczął się jej dawać mocno we znaki.

W południe zatrzymali się na środku starej drogi biegnącej dnem doliny i Reilly ustawił parawan, by mogli przeczekać największy upał. Lea, zmęczona i spocona, położyła się w cieniu, pociągnęła łyk wody z manierki, po czym natychmiast zamknęła oczy.

Drzemka pokrzepiła nieco jej nadwątłone siły i mogli iść dalej. Zanim wyruszyli, spytał obojętnym tonem, jak się czuje.

- Świetnie - odparła sztywno.

Przez jakiś czas rzeczywiście szło jej się dość dobrze, lecz wkrótce okazało się, że jest znacznie słabsza niż rano. Każdy odpoczynek wydawał się krótszy od poprzedniego, choć wszystkie trwały tyle samo. Miała wrażenie, że nie będzie w stanie uczynić już ani jednego kroku więcej, ale zaciskała zęby i zmuszała się do dalszego wysiłku.

Reilly utrzymywał między nimi stały dystans, nigdy nie oddalał się więcej niż o parę metrów. Gracja i sprężystość jego ruchów przypominały jej, że to ona opóźnia marsz. Gdyby był sam, znajdowałby się o wiele kilometrów dalej niż teraz. Pomyślała z

goryczą, że już wie, czemu Reilly'emu tak zależy na tym, by jak najszybciej wrócili do cywilizowanego świata. Nie miał ochoty spędzać z nią ani chwili dłużej, niż to się okaże konieczne. Chciał się jej pozbyć.

Nagle potknęła się o kamień i upadła, boleśnie uderzając kolanami o twarde gruntu. Reilly błyskawicznie znalazł się obok i chwycił ją pod ramię, by pomóc jej wstać. Wyrwała się.

- Dam sobie radę - powiedziała ostrym tonem, podnosząc się o własnych siłach.

- Nie skrzyłaś nogi? - Patrzył na nią wciąż tym samym chłodnym wzrokiem.

Ostrożnie pomacała kostkę. Trochę bolało, ale niewiele.

- Wszystko w porządku - oznajmiła sucho. - Idziemy. Podał jej kij, który upuściła przy upadku i ruszyli dalej.

Przed zachodem słońca zatrzymali się na noc. Natychmiast usiadła na ziemi i ze znużeniem oparła głowę na kolanach. Reilly prawie siłą wepchnął jej manierkę w dłoń, jednak ręce Lei tak drżały ze zmęczenia, że nie mogła unieść jej do ust bez rozlewania zawartości. W końcu musiał pośpieszyć z pomocą i przytrzymać manierkę przy jej spierzchniętych wargach.

Rozpakował zawiniątko i wyjął kawałek suszonej wołowiny.

- Mamy zbyt mało wody, by to jakoś przygotować.

- Nie jestem głodna... - Z trudem odsunęła dłonią podawane mięso.

- Zjedz to - rozkazał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie mam siły - jęknęła, lecz w końcu niechętnie, ale przyjęła jedzenie.

- Rozejrzę się, może znajdę jakiś opał.

Zanim wrócił, skończyła mozolne żucie suchej wołowiny i wyciągnęła się na twardej, kamienistej ziemi. Gdy usłyszała kroki, nawet nie otworzyła oczu. Było jej już zupełnie wszystko jedno. Narzucił na nią płachtę, lecz Lea była przekonana, że dzisiejszej nocy nie poczuje chłodu, gdyż będzie spała jak zabita.

Usłyszała trzask zapalki, co oznaczało, że poszukiwania Reilly'ego zostały uwieńczone sukcesem i że będzie można rozpalić ognisko. Nagle poczuła straszny fetor, co spowodowało, że przemogła odrętwienie.

- Och! A co to za smród? - Odwróciła się na bok, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Nie ma tu żadnego drewna, ale znalazłem, hm, pozostałości po krowach. Przyznaję, że nie pachną, ale musimy rozpalić ogień, by nas ogrzewał w nocy.

Naciągnęła płachtę na głowę, by choć trochę zmniejszyć intensywność okropnej woni. Jednak już chwilę później spała kamiennym snem, choć słońce jeszcze nie skryło się za horyzontem.

Coś ją potrzęsnęło za ramię. Z ociąganiem otworzyła oczy. Jej wzrok padł na parę butów, na których opierały się nogawki mocno zakurzonych dżinsów. Półprzytomnie powiodła spojrzeniem po opiętych spodniach, smukłych biodrach i szerokich ramionach, by w końcu zatrzymać się na parze zielonych oczu.

- Nie, przecież nie może być już rano - zaprotestowała, choć było zupełnie jasno.

- No, zbieraj się - powiedział zdecydowanie, ale nie zaproponował, że jej pomoże.

Wcale nie było łatwo wstać, gdy całe ciało okazało się zeszywniałe i obolałe po wysiłkach poprzedniego dnia. Kiedy ruszyli, ból przeszywał mięśnie przy najdrobniejszym ruchu, Lea więc bezwiednie krzywiła się przy każdym kroku. Zauważyła z satysfakcją, że Reilly również nie jest tak energiczny i sprawny, jak poprzednio. Jemu też zmęczenie zaczęło się dawać we znaki, lecz słaba to była pociecha.

Gdy zatrzymali się na odpoczynek po raz drugi, postanowiła nie siadać. Obawiała się, że potem nie będzie w stanie się podnieść. Oparła się więc ciężko na kiju, zupełnie wykończona.

- Ile... Daleko jeszcze? - wydyszała z trudem. Nawet mówienie wymagało ogromnego wysiłku.

Ujął ją pod ramiona i posadził na ziemi.

- Nie wiem.

- Teraz nie będę miała siły wstać - zaprotestowała. Bezsilnie położyła się na twardym gruncie, a wszystkie mięśnie drżały jej z wysiłku.

- Nie przesadzaj. Całkiem nieźle sobie radzisz.

- Doprawdy? - Próbowała się roześmiać, ale bezskutecznie. Jej powieki ciężko opadły. Gdy je uniosła ponownie, Reilly przysiadł obok i włożył między rozchylone wargi Lei zapalonego papierosa.

- To ostatni. - Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. -
Musimy się podzielić.

- Czuję się jak skazaniec, któremu zaoferowano ostatniego
papierosa - westchnęła ze znużeniem.

- Nic nie mów. Odpoczywaj. - Ponownie dał jej się zaciągnąć.

To dziwne, pomyślała, gdy lekko przy tym dotknął palcami jej
warg. Przez tych kilka chwil powiedzieliśmy więcej niż przez cały
wczorajszy dzień. Czyżbyśmy byli tak wykończeni, że nawet nie
mamy siły, by nadal się na siebie gniewać?

Gdy Reilly zgasił niedopalek, wstał i podniósł Leę. Oparła się
miętko o niego, lecz odsunął ją szybko od siebie i podał jej kij, na
którym mogła się wesprzeć. Zrozumiała, że mimo osiągnięcia
częściowego porozumienia, wciąż nie jest między nimi, tak jak
dawniej.

Szli teraz bardzo powoli, jednak dla Lei każdy krok stawał się
istną torturą. Prawie płakała ze zmęczenia i bólu.

Nagle Reilly przystanął.

- Patrz! - zawołał z ożywieniem.

Stała obok. Pustynny krajobraz rozciągał się aż po horyzont,
widoczny teraz lepiej, gdyż dolina zaczęła się wyraźnie rozszerzać.

- Gdzie? - spytała gorączkowo nieswoim głosem.

- Tam na prawo, u stóp góry, znajdują się jakieś budynki. To
chyba ranczo, o ile się nie mylę - powiedział, wpatrując się w dał.

Rzeczywiście, dostrzegła wreszcie jakieś ciemne kształty, ale
trzeba było mieć sokoli wzrok, by rozpoznać, co to może być. Jakim
cudem on to w ogóle zauważył?

Ruszyli w stronę odległych zabudowań. Początkowo nadzieja dodała Lei nowych sił, lecz nie starczyło ich na długo. Zaczęła się potykać, nogi miała jak z waty, w końcu zupełnie odmówiły posłuszeństwa i runęła na ziemię jak długa. Koniec. Wiedziała, że nie wstanie. Była śmiertelnie zmęczona.

Poczuła, że Reilly próbuje ją podnieść.

- Zostaw - szepnęła z trudem. - Nie dam już rady.

- Owszem, dasz - stwierdził twardo.

Postawił ją na nogi, objął w pół i otoczył jej ramieniem swoją szyję. Pomogło to tylko na krótką metę, gdyż wkrótce jej nogi odmówiły posłuszeństwa i włókł ją prawie. Gdy zdał sobie z tego sprawę, bez namysłu wziął Leę na ręce. Miała wrażenie, jakby była szmacianą laleczką, miękką i bezwładną. Jej głowa podskakiwała na jego ramieniu, a całe ciało zwisało bezsilnie. Mimo krańcowego wyczerpania i spowodowanego nim ośpienia dotarło do niej, jakim brzemieniem stała się teraz dla Reilly'ego. Czuła, jak jego zmęczone mięśnie napinają się z wysiłkiem, by udźwignąć jej ciężar.

- Zostaw mnie - jęknęła błagalnie.

- Nigdy w życiu - padła zdecydowana odpowiedź.

Nie miała siły protestować. Chwilami odpływała w nicość, lecz silne ramiona trzymały ją niestrudzenie, kołysząc w stałym rytmie nad suchą, twardą ziemią.

Dawno nie słyszany dźwięk, wściekłe warczenie psa, spowodował, że otworzyła oczy. Reilly zwolnił, gdyż zwierzę znajdowało się na wprost nich. Za nim widać było jasny domek i suszące się na podwórzu pranie. Ktoś otworzył drzwi na werandę.

- Laddie, do nogi! - rozległ się kobiecy głos i pies posłusznie podbiegł do swojej pani.

Kobieta zeszła ze schodów, osłaniając oczy od słońca, by dojrzeć przybyszów. Przy niej dreptało małe dziecko.

- Kim jesteście? O co chodzi? - spytała niepewnie. Reilly przystanął parę kroków przed nią.

- Nasz samolot rozbił się w górach przed jedenastoma dniami - wyjaśnił uspokajającym tonem. - Moja kobieta musi się napić i odpocząć. Czy możemy wejść?

- Och, tak, oczywiście! - zawołała gospodyni, wyraźnie wstrząśnięta. - Laddie, leżeć! Słyszeliśmy o tym wypadku, lecz nie mieliśmy pojęcia, że to się stało gdzieś w tej okolicy. Proszę, chodźcie.

Do Lei dotarło tylko to, co powiedział Reilly. Nawet pienia anielskie nie zabrzmiałyby w jej uszach równie cudownie, jak jego słowa. Moja kobieta... Z uczuciem spojrzała na zmęczoną i brudną, a przecież tak niezwykle pociągającą twarz. Czy naprawdę tak myślał? Czy też może tak tylko mu się powiedziało?

- Czy ta pani jest ranna? - Kobieta pośpiesznie otworzyła drzwi, a mała dziewczynka wciąż kurczowo trzymała się spódnicy matki. - Czy mam wezwać lekarza?

- Nie, to po prostu zmęczenie, pragnienie i głód. Gdzie mogłaby odpocząć?

- Na kanapie w dużym pokoju. Tędy, proszę - zaprowadziła ich.
- Przyniosę wody. - Wyszła, a dziecko podążyło za nią jak cień.

Delikatnie położył Leę na kanapie, układając jej poduszki pod głową.

- Wygodnie?

- Zapomniałam, że może istnieć coś równie miękkiego. Reilly...

- Urwała, gdyż gospodyni wróciła do pokoju z dzbankiem i szklankami.

Łapczywie wypła wodę ze szklanki, którą Reilly trzymał przy jej ustach i ciężko opadła z powrotem na poduszki. Miała wrażenie, że wstępuje w nią nowe życie.

Kobieta pochyliła się nad córeczką.

- Biegnij do stodoły, Mary, i przyprowadź tatusia. Tylko powiedz mu, żeby się pospieszył. Czego jeszcze państwo sobie życzą? Może whisky? Albo coś do jedzenia?

- Gdyby miała pani kawę, byłbym wdzięczny – Reilly odsunął się od kanapy. - I czy mógłbym zadzwonić? Chciałbym powiadomić lokalne władze.

Mary nieśmiało przemknęła obok obcego mężczyzny i pobiegła po tatę.

- Telefon jest w kuchni. Kawa też się znajdzie - kobieta uśmiechnęła się.

Spojrzał na Leę.

- Zostań, tu ci będzie dobrze. Wrócę za chwilę.

- Już mi lepiej - zapewniła i była to prawda. Do poprawy jej stanu głównie przyczyniła się widoczna w zielonych oczach troska.

Gdy tamci dwoje wyszli z pokoju, wyciągnęła się wygodnie na kanapie. Czuła się dziwnie, gdy nad głową zamiast nieba widziała

sufit. Za kilka godzin weźmie gorącą kąpiel, włoży czyste ubranie i wyśpi się na miękkim łóżku. Ale bez mrugnięcia okiem oddałyby to wszystko za...

Usłyszała szybkie, lekkie kroki.

- Proszę, kawa dla pani. Pani mąż powiedział, że mam zrobić gorącą i słodką. I że ma pani wypić do dna... - Gdy uśmiechnęła się szeroko, jej niezbyt ładna, piegowata twarz stała się zadziwiająco urocza.

Lea usiadła, na wszelki wypadek opierając się o poduszki. Wzięła kubek, a na jej policzkach pojawił się słaby rumieniec.

- On... nie jest moim mężem. - Wiele by dała za to, żeby nie musiała prostować słów gospodyni.

- Myślałam... to znaczy - zdumiona kobieta roześmiała się w końcu, by ukryć zakłopotanie. - Jakoś tak mi się wydawało, że jesteście państwo małżeństwem. Bardzo przepraszam.

- Nie ma za co. - Ostrożnie popijała gorącą kawę, czując, że rzeczywiście jej to pomaga.

- Nazywam się Tina Edwards - przedstawiła się gospodyni.

- Lea Talbot.

- To musiało być straszne przeżycie, prawda?

Jak wytłumaczyć, że wbrew pozorom wcale tak nie było? Mimo katastrofy i związanego z nią szoku, mimo kilku dni przeleżanych w gorączce, nie potrafiła myśleć o okresie, który spędziła tylko z Reillym, jako o czymś strasznym. W jej wspomnieniach ten czas jawił się niemal jak sielanka.

- Nie było tak źle - powiedziała w końcu, starannie dobierając słowa. - Najgorsze okazały się te dwa ostatnie dni. - Gdy między mną a Reillym wszystko się popsuło, dodała w myślach.

- Wyobrażam sobie - przytaknęła współczująco pani Edwards. - Marsz w tym upale musi być czymś koszmarnym.

Drzwi otworzyły się nagle i dziewczynka pędem wpadła do pokoju, by znów stanąć przy swojej mamie. Lea usłyszała kroki i obcy głos. Ktoś rozmawiał z Reillym.

- To mój mąż, Mike - wyjaśniła uczynna gospodyni. Spojrzała na wchodzących mężczyzn. Zauważyła tylko, że Mike Edwards był człowiekiem niewysokim, kowbojski kapelusz i okulary przeciwsłoneczne częściowo skrywały jego rysy. Przeniosła wzrok na Reilly'ego. Jego pobrużdżona twarz zdradzała ogromne zmęczenie. Lea zastanowiła się, jakim cudem on jeszcze trzyma się na nogach. Skąd bierze na to siły.

- Pan Edwards był tak miły, że zaproponował nam odwiezienie do Tonopah - powiedział znużonym głosem. - Twoja rodzina będzie już tam czekać. Władze ich zawiadomią, że jesteś cała i zdrowa.

- Kiedy jedziemy?

- Gdy tylko skończysz kawę.

Starannie ukryła rozczarowanie i podniosła kubek do ust. Miała nadzieję, że uda im się spędzić trochę czasu sam na sam, jednak on unikał takiej sytuacji jak ognia. Nie miał ochoty na prywatną rozmowę. Trudno, ona może poczekać. Jeśli nie teraz, to w przyszłości dopadnie go w cztery oczy i powie to, co ma do

powiedzenia. Nie uda mu się jej powstrzymać. Nie pozwoli, aby usunął ją ze swego życia.

- Jestem gotowa - oznajmiła, odstawiając kubek. Gdy pochylił się, by wziąć ją na rękę, zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Myślę, że dam radę iść.

Ujął ją pod ramię i pomógł wstać. Zachwiała się, lecz udało jej się odzyskać równowagę. Mimo to nie rozluźnił uścisku, ale jego dotyk pozostał chłodny i obojętny, jakby Reilly zajmował się zupełnie obcą osobą.

- Dziękuję, pani Edwards - powiedziała Lea, gdy wychodzili z pokoju. - Za wszystko - dodała, choć tamta nie mogła wiedzieć, czym naprawdę zaskarbiła sobie jej wdzięczność.

Reilly nalegał, by usiadła z tyłu sama. Twierdził, że dzięki temu będzie mogła się wygodnie wyciągnąć i odpocząć. Rzeczywiście, z ulgą położyła się na siedzeniu, jednak jej myśli wciąż krążyły wokół znajdującego się przed nią mężczyzny. Próbowwała skupić się na radosnym powitaniu, jakie niechybnie zgotuje stęskniona rodzina, ale bezskutecznie.

Po kilku kilometrach wyjechali na szosę, która wkrótce doprowadziła do drogi szybkiego ruchu, przejęty Mike Edwards mógł więc teraz wcisnąć pedał gazu prawie do oporu. Widoki za oknami zmieniały się błyskawicznie, ale i tak minęła prawie godzina, zanim znaleźli się na przedmieściach miasta.

Gdy zatrzymali się przed budynkiem policji, Lea usiadła z trudem, czując, jak zesztyniały, obolałe mięśnie protestują przeciw tak ogromnemu wysiłkowi. Reilly otworzył tylne drzwi i ujął ją

mocno za ramię, by pomóc jej wysiąść. Niepewnie stanęła na chodniku, na szczęście silna dłoń podtrzymywała ją przez cały czas. - Proszę, musimy porozmawiać - odezwała się cicho.

- O czym? - Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem, celowo udając, że nie rozumie, o co chodzi.

- O nas.

Ton, jakim się odezwał, był mało uprzejmy.

- Nie widzę takiej...

- Lea! - zawołał ktoś głośno, przerywając mu w pół słowa.

Odwróciła się w kierunku głosu i uśmiechnęła promiennie na widok wysokiego chudzielca o jasnych włosach, biegnącego w ich stronę.

- Lonnie!

Zdażyła zauważyć w pewnym oddaleniu niebieski mundur Air Force oraz pełną gracji figurę matki, gdy mocne dłonie chwyciły ją wpół, uniosły w powietrze i okręciły dookoła.

- Nic ci nie jest? Wróciłaś. Wróciłaś - powtarzał brat, przyciskając ją z całej siły do siebie, jakby chciał się upewnić, że to prawda.

Postawił ją wreszcie z powrotem na ziemi, a w jego jasnobrażowych oczach lśniły łzy, których nawet nie starał się ukryć.

- Jesteś wariatką, jakiej świat nie widział! - powiedział z ogromną czułością. - Już nie mogłaś wymyślić nic gorszego?

- Chciałam się z tobą zobaczyć - rozplakała się Lea. - Żeby ci zrobić niespodziankę na urodziny...

- Córeczko!

Słyszając to, Lonnie wypuścił siostrę z objęć, by mogła się przywitać również z rodzicami.

- Kochanie moje - szeptała z niewysłowioną ulgą matka, tuląc ją czule do siebie. - Umieraliśmy z niepokoju. Uznano cię za zaginioną. Ale my...

- Na szczęście wszystko się dobrze skończyło, mamusiu. - Lea objęła jedną ręką stojącego obok ojca.

Nie miał on zwyczaju okazywać uczuć, stał więc przy nich wyprostowany, z kamienną twarzą. Wreszcie z wahaniem pogładził spalone słońcem włosy córki, gdy Lea wtuliła twarz w nienagannie wyprasowany mundur.

- Przysporzyłaś nam sporo zmartwienia - odezwał się sztywno.

- Wiem, tatku - szepnęła i spojrzała mu prosto w oczy. Ujrzała w nich niezmierną radość, której nie potrafił wyrazić słowami ani zachowaniem.

- Wielkie nieba, spójrz na siebie! - Matka drżącą dłonią otarła łzy. - Wyglądasz jak swój własny cień. Ubranie w strzępach. Straciłaś ładnych parę kilo i jesteś brązowa jak Indianka.

Lea nagle odsunęła się i spojrzała za siebie. Przy samochodzie nie było nikogo. Zrobiło jej się gorąco. Zostawił ją! Naraz ujrzała znajomą sylwetkę już prawie w drzwiach budynku.

- Reilly! - zawołała, kompletnie ignorując zakłopotane i nieco chmurne miny rodziców.

Zawahał się wyraźnie, przystanął, wreszcie odwrócił się, a na jego twarzy malowała się niechęć i niecierpliwość. Widać było, że zamierzał niepostrzeżenie zniknąć jej z oczu.

- Reilly, nie zostawiaj... - W ostatniej chwili ugryzła się w język i nie dokończyła: „mnie”. Musiała jakoś ratować niezręczną sytuację.
- Chciałabym, żebyś poznał moją rodzinę.

Podszedł bezzwłocznie, co mogło oznaczać tylko jedno. Wolał jak najszybciej mieć to za sobą. Nieubłagane, dumne rysy zastygły w nieprzeniknionej masce. Wyglądał tak chłodno i nieprzystępnie, że Lea odniosła dziwne wrażenie, iż gdyby go tylko dotknęła, to sama obróciłaby się w kamień.

- Pozwólcie, to Reilly Smith, razem wyczarterowaliśmy ten samolot - wyjaśniła nerwowo. - Gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj...
- Jej głos zaczął się lekko łamać, chociaż starała się mówić z wymuszoną wesołością.

Wymieniono parę uprzejmych frazesów i Reilly cofnął się o krok.

- Było mi bardzo miło państwa poznać, ale zdaję sobie sprawę z tego, że chcecie się państwo nacieszyć odzyskaną zgubą. Ja też mam parę spraw do załatwienia - odwrócił się, lecz Lea chwyciła go za ramię.

- Dokąd idziesz?

Spojrzał wymownie na przytrzymującą go rękę.

- Trzeba zrelacjonować władzom szczegóły wypadku.

- W takim razie powinnam pójść z tobą. - Nie mogła pozwolić, by zniknął jej z oczu. Obawiała się bowiem, że wtedy już go nigdy więcej nie zobaczy.

- Jestem dorosły i potrafię sam odpowiadać na pytania - oznajmił twardo. - Jeśli twoje zeznania również okażą się potrzebne, to policja i

tak cię znajdzie. Teraz zresztą nie mieliby z ciebie pożytku. Jesteś zmęczona i nie wiesz, co mówisz. Lepiej zrobisz, jak odpoczniesz.

Wiedziała, co próbuje dać jej przez to do zrozumienia. Że tylko jej się wydaje, iż go kocha.

- Wiem, co mówię - zaprzeczyła i zanim zdążył ją powstrzymać, objęła go i przytuliła głowę do zniszczonej koszuli. Musiała usłyszeć bicie jego serca, by przekonać się, że ten człowiek jednak nie jest z kamienia. - Kiedy cię znowu zobaczę? - szepnęła cichutko, żeby tylko Reilly to usłyszał.

Położył dłonie na jej szczupłych ramionach i zawahał się przez chwilę, a potem odsunął ją od siebie zdecydowanym ruchem.

- Idź z rodzicami, wykap się, prześpij... - Kąciki jego ust uniosły się nieznacznie, co prawdopodobnie miało oznaczać uśmiech, zielone oczy patrzyły jednak lodowato.

- Kiedyś zjemy razem obiad i pośmiejemy się z naszej przygody.

Puścił ją i odszedł szybko. Z bólem śledziła wzrokiem oddalającą się postać. Miała ochotę umrzeć.

Odwróciła się i zauważyła spojrzenie brata, który podejrzliwie oglądał męską koszulę, w jaką była ubrana. Ojciec z kolei badawczo przyglądał się odchodzącemu mężczyźnie. Zrozumiała, o czym myśli teraz cała rodzina. Wiedzieli, że spędziła jedenaście dni w towarzystwie obcego człowieka. Teraz zaczęli się zastanawiać, jak spędziła jedenaście nocy...

Lonnie otoczył Leę opiekuńczo ramieniem.

- Chodź, musisz się umyć i przebrać - z wyzwaniem w oczach spojrzał w surową twarz ojca. - A potem coś zjemy. Przecież jesteś mi winna zaległy urodzinowy obiad.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czyjaś dłoń odgarnęła jej włosy z twarzy i czule pogłaskała po policzku.

- Obudź się, Lea - odezwał się łagodnie męski głos.

Zadowolona, zamruczała przeciągle.

- Czy już ci mówiłam, że cię Kocham? - szepnęła, a na jej pełnych ustach pojawił się błogi uśmiech.

- Przynajmniej nie w ostatnich dniach - padła lekko kpiąca odpowiedź.

- Kocham cię, Reilly - powiedziała z uczuciem. Ciepła dłoń cofnęła się natychmiast.

- Chyba się jeszcze nie obudziłaś - stwierdził ktoś urażonym głosem.

W jednej chwili otworzyła oczy. Ze zdumieniem stwierdziła, że wcale nie spała na ziemi w ramionach Reilly'ego, lecz w obcym łóżku. I to zupełnie sama. Obok stał jej brat z rękami w kieszeniach i z marsem na czole. Przewróciła się na plecy, odwracając głowę w kierunku zasłoniętych okien.

- Czy już czas na obiad? - Zamrugła ze zdziwieniem, udając, iż poprzednie słowa wypowiedziała przez sen i że ich nie pamięta.

- Obiad? - roześmiał się, lecz jakby trochę nieszczercze. - Spałaś przez trzydzieści sześć godzin.

- Żartujesz! - zawołała z niedowierzaniem. - Przecież dopiero co mama zaproponowała, żebym po kąpieli położyła się na trochę...

- Rodzice kupili ci jakieś ubrania, leżą na krześle. Przebierz się, czekamy na ciebie. Lea... - zawahał się, stojąc już przy drzwiach.

- Tak? - aż wstrzymała oddech.

- Nie, nic - westchnął i wyszedł.

Odczuła zadowolenie, potem jednak doszła do wniosku, że byłoby lepiej, gdyby głośno wyraził swoje wątpliwości i podejrzenia. Teraz bowiem panowało między nimi nieprzyjemne napięcie, które Lea bezskutecznie starała się rozładować podczas wspólnego śniadania. Udawała pogodny nastrój, lecz chwilami milkła, wpatrując się z roztargnieniem w dal, a jej myśli krążyły wokół Reilly'ego. Gdzie teraz jest? Co robi?

Po posiłku cała czwórka przeniosła się do pokoju rodziców, gdzie musiała zdać szczegółową relację z minionych wydarzeń. Oczywiście wszyscy byli ciekawi, jakim cudem udało jej się przeżyć tych jedenaście dni. Opowiedziała wszystko dokładnie, z głębokim przekonaniem podkreślając zasługi Reilly'ego, a dumna męska twarz widniała jak żywa przed jej oczami.

- Może powinniśmy cię zabrać do lekarza? - zastanowił się ojciec.

- Po co? - obruszyła się.

- Żeby sprawdzić, czy aby na pewno nie wdało się zakażenie - wyjaśnił surowo.

Zbyt późno przypomniała sobie, że przed chwilą opowiadała im o tym, jak przez kilka dni leżała nieprzytomna. Z roztargnieniem dotknęła lewego ramienia.

- Tym razem goi się na pewno, nie potrzebuję doktora.

- Dziecko drogie - roześmiała się matka, wyraźnie nieświadoma rosnącego napięcia. - Nie sądziłam, że jesteś taka odporna. To cud, że nie złapałaś zapalenia płuc. Noce na pustyni są przecież strasznie zimne.

Wiedziała, że mama powiedziała to w dobrej wierze, niczego nie sugerując. Tym niemniej pytanie padło. Ponieważ nie miała zwyczaju oszukiwać, zwłaszcza bliskich, musiała odpowiedzieć szczerze.

- To proste. - Nieświadomie uniosła brodę, przyjmując obronną pozę. - Reilly i ja spaliśmy razem, by się ogrzać.

Zapadła cisza.

- To znaczy, nie bierzcie tego tak dosłownie - nerwowo sięgnęła po leżącą na stole paczkę papierosów. - Nie kochaliśmy się ze sobą, jeśli o to wam chodzi.

- Lea... - zakłopotana się matka. - Wcale nie myśleliśmy nic takiego.

- Wiem, ale...

- Ale to jest to, o czym ty myślałaś - dokończył ojciec, stając przed oknem i wpatrując się gdzieś w dal.

Przez chwilę obserwowała żarzący się koniec papierosa.

- Kocham go, tatku.

- Rozumiem. A jakie uczucia w stosunku do ciebie żywi pan Smith?

- Nie wiem - rzuciła krótkie spojrzenie na ojca. - Nie dzwonił, prawda?

- Nie.

- Kochanie, czy jesteś tego pewna? - spytała łagodnie matka. -
Może to po prostu wdzięczność? Wiesz, jak to jest. Na przykład
pacjentki często zakochują się w swoich lekarzach.

- Nie, to nie to - zdecydowanie potrząsnęła głową, a jasne włosy
zawirowały wokół jej ramion.

Ojciec odwrócił się od okna i obrzucił ją krytycznym
spojrzeniem.

- Przecież prawie nie znasz tego człowieka - wytknął.

- Nie mogę się z tym zgodzić - zaproponowała spokojnie. -
Jedenaście dni na pustyni, w ekstremalnie trudnych warunkach,
pozwala dokładnie poznać prawdziwy charakter drugiej osoby.

Nie wiedziała, jak długo jeszcze uda jej się rozmawiać na ten
temat, zachowując opanowanie. Obawiała się, że lada moment może
się załamać pod ciężarem napięcia i niepewności. Nawet nie
zadzwoił...

- Jeśli nie macie nic przeciw temu, to poszłabym do siebie trochę
się odświeżyć.

Rodzice zgodzili się skwapliwie, widocznie chcieli
przedyskutować kłopotliwą sytuację. Zamknęła za sobą drzwi i oparła
się o nie ciężko. Ona też musiała to przemyśleć. Nagłe pukanie
przerwało jej rozważania.

- Kto tam? - spytała niecierpliwie. Wolą, by zostawiono ją w
spokoju.

- To ja, Lonnie. Mogę wejść?

- Jasne - odpowiedziała z westchnieniem. - O co chodzi,
braciszku?

- Moja firma dała mi urlop na czas poszukiwań. Skoro się odnalazłaś, muszę wracać do roboty. Ojciec załatwił na jutro bilety lotnicze do Vegas dla waszej trójki. Stamtąd wróci na Alaskę, a mama dołączy do niego za jakiś czas.

Czekała bez słowa. Czowała, że brat do czegoś zmierza.

- A w lokalnej gazecie jest całkiem spory artykuł o tym twoim Reillym - kontynuował Lonnie, wciąż tym samym niedbałym tonem. - Ten gość jest tu dość znany.

- On wcale nie jest moim Reillym - poprawiła z naciskiem i nerwowo splotła drżące dłonie.

- Ale chciałabyś, żeby był? - spytał cicho.

- Kocham go i to bardziej, niż sądziłam, że można kochać - powiedziała z mocą, a potem roześmiała się gorzko. - Oczywiście za wszystko, co dla mnie zrobił.

- Czemu tak mówisz? - skrzywił się z dezaprobatą.

- Ponieważ on też rozumował jak rodzice. - Nie potrafiąc już dłużej udawać spokoju, przeszła przez pokój i zatrzymała się przed lustrem. Spojrzała na odbicie brata. - Wmawiał mi, że gdy wrócimy do normalnego świata, to zapomnę o tym, co było i o nim również.

- Ale tak się nie stało - odpowiedział.

- Nie - gwałtownie odwróciła się od lustra. - Czy wiesz, gdzie można go znaleźć?

- Chcesz się z nim zobaczyć? - uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Jeszcze nie wiem, ale daj mi kilka minut. Muszę wykonać parę telefonów.

Gdy dowiedział się, w jakim hotelu Reilly się zatrzymał, Lea poprosiła, by ją tam zawiózł. Skoro on nie chciał się z nią zobaczyć, to ona podejmie ostatnią próbę. Jeśli się nie powiedzie, podda się i przyzna, że jej uczucie pozostało nieodwzajemnione.

- Nie musisz iść ze mną - zauważyła, gdy brat również wysiadł z samochodu.

- Nie było go w pokoju, gdy dzwoniłem. Może nadal go nie ma. Chodźmy sprawdzić - ujął ją pod rękę.

- Jeśli nie wrócił, to poczekam - stwierdziła z determinacją. - Muszę z nim porozmawiać.

Gdy weszli, Lonnie poprosił, by została przy wejściu, sam zaś udał się do recepcji. Wrócił po kilku minutach.

- Chodź - poprowadził ją dokądś korytarzem.

- Jest u siebie? - spytała z napięciem.

- Nie. Ale możesz poczekać w jego pokoju - pokazał jej klucz.

- Jak to zrobiłeś? - zaciekała się.

- Przemówiłem do ręki komu trzeba - uśmiechnął się łobuzersko.

- Przecież nie mogłem pozwolić, by moja siostra czekała na korytarzu na faceta - z uczuciem uściskał jej dłoń.

Oczy Lei zaszły łzami, a wzruszenie nie pozwoliło jej wyrazić ogromnej wdzięczności.

- To tutaj - otworzył drzwi. - Powodzenia, siostrzyczko. A jeśli nie będzie chciał cię wysłuchać, to zadzwoń po mnie. Już ja z nim pogadam.

- Co ja bym zrobiła bez ciebie? - przytuliła się do niego mocno.

- Poradziłabyś sobie równie dobrze beze mnie. Ale z tego, co widzę, nie poradzisz sobie bez Reilly'ego - pocałował ją w czubek głowy. - Dlatego, jeśli go kochasz, to walcz o niego, mała.

W pokoju nie było zegara, nie miała więc pojęcia, jak długo już czeka. Wydawało jej się, że krąży w czterech ścianach od wielu godzin, nerwowo chodząc między łóżkiem, krzesłem i oknem. Układała w myślach całe przemówienie, poprawiając je nieustannie.

W chwili gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku, wszystkie argumenty wyleciały jej z głowy. Znieruchomiała w rogu pokoju. Reilly wszedł, nie zauważając jej, przez kilka chwil mogła więc bez przeszkód napawać się jego widokiem.

Zamknął drzwi, rzucił kurtkę na łóżko i dopiero gdy rozpiął koszulę, dostrzegł nieproszonego gościa. Zastygł w bezruchu, tylko zielone oczy zwęziły się nagle. Przez cały czas miała nadzieję, że jeśli uda jej się go zaskoczyć, to Reilly nie zdąży przybrać obojętnej maski i niechcący zdradzi swoją radość na jej widok. Zawiodła się tak boleśnie, jak nigdy w życiu.

- Co ty tu robisz? - spytał nieźyczliwie. Zrozumiała beznadziejność sytuacji.

- Przyszłam porozmawiać. - W ustach jej zaschło z emocji. - Czekam na ciebie i czekam. Gdzie się podziewałeś przez tyle czasu?

- Musiałem wskazać miejsce wypadku. Czekałem, aż wydobędą Grady'ego, potem skontaktowałem się z jego rodziną, by omówić kwestię przewiezienia go do Vegas. Któryś z policjantów ma podrzucić twoje dwie torby do waszego hotelu.

Mimo że było jej naprawdę przykro z powodu śmierci pilota, nie zamierzała pozwolić, by Reilly odwiódł ją od właściwego tematu rozmowy.

- Mogłeś przecież sam mi je przywieźć. Czemu tego nie zrobiłeś?

Ze znużeniem potarł dłonią policzek.

- Ponieważ nie chciałem się z tobą widzieć - wyznał z brutalną szczerością. - Słuchaj, jestem zmęczony. Muszę wziąć prysznic i trochę się przespać. Powiedz więc, co masz do powiedzenia i zostaw mnie w spokoju!

Aż się cofnęła o krok.

- Kocham cię.

- Do diabła, Lea, ile razy będziemy jeszcze to wałkować? - zdenerwował się.

- Upierałeś się, że gdy tylko wrócę do tak zwanego normalnego świata, moje uczucie do ciebie zniknie bez śladu - uśmiechnęła się smutno. - Spójrz dookoła. Zobaczysz ściany, sprzęty, za oknem ujrzysz beton zamiast piasków pustyni i samochody zamiast grzechotników. Ale ty i ja nie zmieniliśmy się. Nadal cię kocham, nawet bardziej niż przedtem, gdyż zrozumiałam, że moje życie stało się puste, odkąd nie budzę się w twoich ramionach.

Zapanowało pełne napięcia milczenie. Przez chwilę patrzył w orzechowe oczy, spokojnie wytrzymując ich spojrzenie. Surowe rysy nie drgnęły ani na jotę. Wreszcie odwrócił się i podszedł do stołu.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - oznajmił, wrzucając do szklanki kostki lodu i nalewając wody.

Lea rozpięła długi suwak dżersejowej sukienki.

- Uprzedziłam cię kiedyś, że jeśli mnie zostawisz, to udam się za tobą. - Wysunęła ręce z rękawów. - Nie rzucam słów na wiatr, Reilly. Jeśli mnie nie kochasz i nie chcesz mnie za żonę, to zostanę z tobą jako twoja kobieta. - Sukienka spłynęła miękko na ziemię, a Lea postąpiła krok do przodu.

- Czy byłabyś tak uprzejma... - odwrócił się i urwał gwałtownie, a jego oczy otworzyły się szeroko. - Co ty wyprawiasz! - Rzucił szklanekę, porwał z łóżka prześcieradło, podbiegł i gorączkowo owinał nim jej smukłą sylwetkę.

Ze spokojem zniosła ten wybuch gniewu.

- Przecież nagie ciało to część natury - powtórzyła jego niegdyś słowa. - Już mnie taką widziałeś. Czemu więc mam się wstydzić?

- Ponieważ zmieniła się sytuacja - warknął, szczelniej okrywając ją materiałem.

- Tak? A czemu się zmieniła? - spytała prowokacyjnie, opierając się o niego i kusząco rozchylając usta.

Chwycił ją mocno za przedramię, nie dając jej się w pełni wesprzeć na jego piersi, ale zarazem nie pozwalając uciec, gdyby tego chciała. Wydawało się, że nie potrafi oderwać wzroku od wilgotnych warg, a jego oddech już nie był taki spokojny i równy, jak przed chwilą.

- Ponieważ teraz myślę jak biały, a nie jak Indianin - powiedział nieswoim głosem.

- Skoro myślisz jak biały i osłaniasz moją nagość, to znaczy, że mnie pragniesz - szepnęła.

Jego wytrzymałość i opanowanie też miały swoje granice. Porwał Leę w ramiona i zaczął gwałtownie całować. Przyciągnął ją mocno do siebie, by mogła czuć jego pożądanie. Niecierpliwe dłonie zachłannie błędziły po jej ciele, nie pozwalając wszakże, by prześcieradło zsunęło się z niej. Musiała się więc zadowolić tylko odwzajemnianiem pocałunków.

Niechętnie oderwał usta od jej warg, wyraźnie nadal spragniony pocałunków. Z trudem próbował odzyskać panowanie nad sobą.

- Potrzebujesz więcej czasu - powiedział półgłosem.

- Czas nie ma żadnego wpływu ani na moją miłość, ani na pragnienie, jakie odczuwam - zaprotestowała żarliwie.

- Co mam zrobić, żebyś mnie zrozumiała? - jęknął, całując jej czoło i powieki. - Jeśli choć raz będziesz moja, to już nigdy nie pozwolę ci odejść. Szaleję za tobą i zmuszę cię wtedy do zostania, niezależnie od tego, czy będziesz tego chciała, czy nie. Dlatego muszę przeczekać twoją chwilową fascynację. Wkrótce ci przejdzie.

- Reilly, kochany! - zaśmiała się z niewypowiedzianą ulgą. - Nie zadurzyłam się w swoim wybawcy i dlatego mi nie przejdzie.

Pokochałam wspaniałego mężczyznę i wcale nie chcę, by pozwalał mi odejść - poczuła, że Reilly przygarnia ją jeszcze mocniej. - Ale skoro ci na mnie zależy, to czemu mnie teraz unikałeś? - spytała w napięciu. Tak bardzo pragnęła wierzyć, że wyznał prawdę.

- Gdyż wiedziałem, że jeśli będę się z tobą widywał, to nie wytrzymam i zostaniemy kochankami. Musiałem zostawić ci czas do

namysłu, abyś była w pełni przekonana, że też tego chcesz. Nie masz pojęcia, jak się męczyłem. Czy wiesz, jak trudno jest nie kochać się z tobą, gdy kocha się ciebie tak bardzo? - Ujął jej twarz w dłonie. W zielonych oczach dostrzegła swoje odbicie. - Ubierz się, żebyśmy mogli iść do twoich rodziców i porozmawiać o ślubie.

Na długich rzęsach Lei zaślnęły łzy.

- Chcesz mnie poślubić! - zawołała radosnym głosem, czując, jak nagle ogarnia ją niezwykła błogość i spokój.

- Zostaniesz moją żoną, a dopiero potem uczynię cię moją kobietą-powiedział poważnym tonem, jakby składał przysięgę, po czym pochylił głowę, by pocałować spragnione usta Lei.